

Już nie skrzypi moja szafa



Piotr Guzy na ławce na nadmorskim deptaku, niedaleko swojego apartamentu z balkonem, z którego roztacza się widok na morze,

na osiedlu Daimus-La Playa w Hiszpanii. To nadmorskie osiedle oddalone jest o ok. kilometr miasteczka Daimus i trzy kilometry od starego i uroczego miasta powiatowego Gandia, fot. arch.

Piotra Guzego.

Rozmowa o Śląsku, wspomnieniach i życiowych rozliczeniach z mieszkającym w Hiszpanii pisarzem Piotrem Guzym.

Marek Baster: Czym jest Śląsk dla człowieka, pisarza, Ślązaka, który 45 lat temu na stałe go opuścił?

Piotr Guzy: Przede wszystkim wspomnieniem. Choć po odzyskaniu przez Polskę wolności odwiedziłem mój Śląsk kilka razy. Obraz Śląska, jaki przechowuję w pamięci, jest zatem zbitką tego sprzed wojny z tym, co zobaczyłem w czasie kilku niedawnych wizyt. Przeważa jednak ciężar gatunkowy wspomnień sprzed 1939 roku. To tak, jak gdyby sama pamięć broniła się przed najazdem nowych wrażeń, pieczołowicie – powiedziałbym nawet, z pewnym nabożeństwem – chroniąc w moim wnętrzu te tak bardzo już dziś odległe czasy. Konkretnie zaś: są to wspomnienia związane z dwoma określonymi miejscami.

Pierwsze to Tarnowskie Góry, gdzie chodziłem do szkoły,

najpierw do tzw. ćwiczeniówki przy seminarium nauczycielskim, potem do gimnazjum. Ono wtedy nosiło piękne i związane mocno ze Śląskiem imię księcia Jana Opolskiego. Nie potrafię dociec, dlaczego po wojnie to zmieniono. Do gimnazjum przylegał bardzo stary i piękny cmentarz ewangelicki, który władze komunistyczne w barbarzyński sposób zbezczęściły, zrównując go z ziemią. W ten sposób zamordowano kawał historii mojego miasta.

Jeszcze dziś, kiedy nie potrafię zasnąć przywołuję w pamięci drogę, która z naszego domu na tzw. górze prowadziła do szkoły. Przypominam sobie poszczególne domy, ogrody przylegające do klasztoru ojców Kamilianów. Wzdłuż płotu rosły orzechy laskowe, które po deszczu spadały na chodnik. Biegaliśmy tam wtedy, ścigali się do ich zbierania. Pamiętam ulicę Krakowską, wieczorami roiło się od ludzi, to był nasz tarnogórski deptak, szło się od gimnazjum w górę i z powrotem. Podobno już się tak dziś nie chodzi. Pewnie telewizja zabiła ten tak zbliżający ludzi do siebie obyczaj. W jednej bramie przy Krakowskiej był kiosk z prasą, gazety i tygodniki wisiały na ścianie, można było czytać pierwsze strony, gazety leżały także rozłożone na dużej ladzie. Dla mnie to było czarujące miejsce, pachniało farbą drukarską, tchnęło jakimś obietnicami na przyszłość. Pamiętam Dom Ludowy, w którym się mieściła biblioteka i czytelnia Towarzystwa Czytelni Ludowych. Będąc w gimnazjum, zachodziłem tam niemal codziennie, nieważne, co to było, aby

było drukowane. Gazety wisiał na tzw. kijku, tego też już dziś nie ma. Cisza wisiała w powietrzu idealna, spokój jakby się było w innym świecie, cudowne, cudowne miejsce. Tam czytywałem „Wiadomości Literackie”. Nie przeczuwałem, że kiedyś zostanę laureatem nagrody emigracyjnej kontynuacji tego periodyku, londyńskich „Wiadomości”.

MB: Pan się urodził w Zawadzkiem na Śląsku Opolskim, który pozostał w Niemczech.

PG: I to jest drugie miejsce, do którego mnie prowadzą przedsenne wspomnienia. Zawadzkie – rozległa wieś, przed wojną po drugiej stronie granicy, na byłym Śląsku Opolskim. Tam się urodziłem osiemdziesiąt lat temu. Dom, w którym przyszedłem na świat, już nie istnieje, ale dokładnie wiem, gdzie stał. Kiedy kilka lat temu byłem tam z moją angielską wnuczką, mogłem jej to miejsce pokazać, nawet zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie. Gdzieś do 14-15-go roku życia spędzałem tam letnie wakacje. Zawadzkie to były szeroko rozrzucone osady, które się nazywały: Pustki, Żydownia, Świerkla. Piękne, polskie nazwy, zawsze mnie urzekały. Mój dziadek ze strony matki, czyli starzyk, był robotnikiem leśnym i mieszkał na Monisku, nie wiem, co to słowo znaczy, ale też ładne. Monisko to były dwa domy na skraju lasu, jeden należał do gajowego, w drugim mieszkali moi dziadkowie. Między Świerklą a Moniskiem płynęła Małapanew, myśmy mówili przed wojną Malapana. Wtedy to była

jeszcze krystalicznie czysta rzeka. Na łące na skraju rzeki, jakiś kilometr od domu, pasłem krowy. Pustki wznosiły się po drugiej stronie rzeki i pod wieczór w cichym i szerokim powietrzu leciały stamtąd dźwięki orkiestry miejscowej organizacji Hitlerjugend, niosły się głosy maszerujących przez wieś chłopców w brunatnych mundurach, śpiewających „Die Fahne hoh, Die Reihen sind geschlossen”, Hitlerowcy urządzali ogniska. Któryś z moich kuzynów na Świerkli, dla których ja byłem „gorolem”, chyba też członek HaJot, wziął mnie kiedyś ze sobą. Impreza odbywała się na łące za kościołem parafialnym, w tle była czarna ściana lasu, ogień duży, płomienie strzelały wysoko, a już była noc, i w przerwach między frazami hitlerowskich i starogermańskich piosenek dało się słyszeć huczenie ognia. To robiło wrażenie, to fascynowało. To było prymitywne, od tego wiało grozą. Za kilka lat ci młodzieńcy ruszą na podpalenie całego świata, a ja będę przed nimi uciekał i na dobrą sprawę rozpoczął 1 września 1939 roku ucieczkę skończę pod koniec czerwca 1940, kiedy na barce węglowej dopłynę do Liverpoolu w Anglii. Po czterech latach oni będą uciekali przede mną, żołnierzem brygady pancерnej generała Maczka.

MB: Pański Śląsk jest kameralny i intymny. Nie ma już Pańskiego Śląska.

PG: Pojęcie Śląska jako olbrzymiego okręgu przemysłowego przyszło dopiero później. Z doświadczenia osobistego było mi

nieznane, ja przed wojną nie byłem nawet w Bytomiu, nie mówiąc już o Katowicach. Trzeba także pamiętać, że Tarnowskie Góry nie miały przed wojną przemysłu, bodajże największym pracodawcą była Spółka Bracka, tzw. Knappschaft, ogólnośląski zakład ubezpieczeń dla górników. Świeżo upieczeni maturzyści pracowali tam za 20 złotych miesięcznie. Było to miasto urzędników i miasto garnizonowe, gdzie stacjonowały dwie jednostki, trzeci pułk ułanów i jedenasty piechoty. Mój ogląd Śląska jest zatem emocjonalny i liryczny. Śląsk, podobnie jak cała Polska i cała Europa, grzązł wtedy w ogromnym, nieporównywalnym z dzisiejszym, kryzysie gospodarczym. W Nowym Jorku wyskakiwali z okien drapaczy chmur – w Tarnowskich Górach ludzie popełniali samobójstwa na biegnącej przez miast magistrali kolejowej, dwa razy zdarzyło mi się widzieć rozrzucone na torach ludzkie zwłoki. Na odcinku między Nakłem a Tarnowskimi Górami pociągi musiały zwykle zwalniać i wtedy z pobliskich pól rzucały się na wagony całe watahy bezrobotnych, którzy zwalali bryły węgla na tory, a ich koledzy brali je na plecy i przez pola uciekali w stronę Bobrownik, często gonieni na rowerach przez policjantów. Oczywiście, byłem po stronie uciekających.



Tarnowskie Góry dziś, fot. Wikipedia.

MB: Często słyszę od artystów, intelektualistów stąd się wywodzących, że do Śląska trzeba nabrać dystansu, że aby zrobić coś dla Śląska, trzeba go – na czas jakiś czy na stałe – opuścić. Pański przykład potwierdzałby tę opinię.

PG: Nie rozumiem, jak można mówić, że coś się robi dla Polski czy w tym wypadku dla Śląska. Nie rozumiem, jak można twierdzić, że po to, aby coś dla Śląska zrobić, trzeba z niego wyjechać. Powiada pan, że mój życiorys wskazywałby, że tak rzeczywiście jest. Otóż nie sędzę.

We wrześniu 1939, w ramach tzw. przysposobienia wojskowego w naszym gimnazjum, „wyszedłem” z Tarnowskich Gór z nadzieją, tak nam obiecywano, że gdzieś tam dostaniemy broń i będziemy walczyć. Tak się nie stało. I nie winię za to ówczesnych władz polskich – ci, co obwiniają za klęskę kampanii wrześniowej ówczesne rządy, mają pomyłone w głowach. Po dwóch dniach mój oddział, kilkakrotnie bombardowany i ostrzeliwany przez niemieckie Stukasy, rozleciał się, a ja w pojedynkę ruszyłem dalej w kierunku granicy rumuńskiej. Do tej przypominającej jakąś apokalipsę rejterady przez południowo-wschodnią Małopolskę wracam w pisanej obecnie powieści... Uciekałem więc, mogłem jednak wrócić do domu. Nie zrobiłem tego. Z tej prostej przyczyny, że się bałem Niemców, i to nie tych chłopców na Pustkach, śpiewających „Die Fahne hoh”, a tego, co mi się kojarzyło z tamtym ogniskiem, hukiem ognia, na łące za

kościółem parafialnym w moim Zawadzkiem. Zgoda, wtedy znalazłem się za granicą, żeby walczyć o Polskę. Zostałem żołnierzem brygady pancernej gen. Maczka i przeszedłem szlak bojowy od Falaise do Bredy, gdzie, ranny, skończyłem moje bojowanie o Polskę.

MB: Ale wrócił Pan do kraju. I w 1957 roku opuścił go tym razem na stałe.

PG: Mój drugi i ostateczny już wyjazd z Polski też był ucieczką, tym razem przed bezpieczeństwem. Wyjechałem więc nie dlatego, żeby móc coś dla Polski czy dla Śląska poza krajem robić, ale ze strachu przed przesłuchaniami na ul. Kochanowskiego w Poznaniu, torturami, strzałem w tył głowy. Fakt, że na emigracji napisałem kilka książek, które są pewnym wymiernym wkładem do literatury polskiej, miał charakter, powiedzmy, incydentalny.

MB: Czuje się Pan pisarzem *tout court*, czy pisarzem ze Śląska?

PG: Czuję się po prostu pisarzem polskim. Nie wiem, na czym miałyby polegać śląskość w pisarstwie. Moja ostatnia powieść „Zwidy na wysokościach” jest umiejscowiona w Tarnowskich Górach, ale równie jej akcja mogłaby przebiegać w jakimkolwiek innym polskim mieście. Miłość, cierpienie, śmierć, wygnanie, zdrada, powrót do rodzinnego gniazda mają wymiar ogólnoludzki. Pejzaż, tło, znaki drogowe mogą być miejscowe,

ale to, co człowiek czuje, co ma w sercu, będzie w dużym stopniu jednakowe pod każdą szerokością geograficzną.

MB: Bo teraz, mówiąc Pańskim słowami, to są książki o tym, że A kocha się w B, a C kocha D... Powiedział Pan, przy okazji ostatniej wizyty w Polsce, że nareszcie, nareszcie może Pan pisać takie właśnie książki, bo z własnymi trupami w szafie już się uporał. Jakie trupy siedziały w Pańskiej szafie?

PG: Trupy w mojej szafie... To jest sprawa bolesna i skomplikowana, z którą do dziś się nie uporałem. Ja nie padłem ofiarą „ukąszenia heglowskiego”, w moim życiorysie nie ma „krótkiej przygody ze stalinizmem”, mnie nie zauroczyła faryzejsko-humanistyczna retoryka komunizmu. Dwa tygodnie po powrocie do Polski, jesienią 1949, zdałem sobie sprawę, że to jest zbrodniczy i niehumanistyczny system, i że prędzej czy później trzeba będzie się z tego kraju wydostać. Przedtem, jeszcze będąc w Anglii na uniwersytecie, znając całą prawdę o Rosji sowieckiej, wyobrażałem sobie jednak, że tu się kształtuje jakaś radykalna forma socjalizmu, ale polska forma, na tyle więc cywilizowana, że dałoby się w niej żyć. Moje marzenia, z którymi wracałem do Kraju, żeby pisać, żeby oddać w pisaniu wizerunek tego, co dotąd przeżyłem, wzięły w łeb. Tu wszystko było kłamstwem. A ówczesny polski Parnas literacki piał z zachwyty, tarzał się jak świnię w uwielbiającej zbrodnię samozatrakcie. I wówczas powiedziałem sobie, że nie będę kłamał, iż żyjemy w raju.

MB: Mógł Pan nie pisać. Ale Pan chciał pisać.

PG: Od czasów moich pierwocin literackich w gimnazjum – zawsze chciałem pisać, chciałem drukować, chciałem zobaczyć własną książkę na półce. Nie chcąc więc pisać o dobroczynnych skutkach zaorywania miedzi, o szczęściu jasnowłosych dziewcząt, którym władza ludowa i „nasza partia” umożliwiła zajęcie miejsca za kierownicą Ursusa, nie chcąc unosić się nad dokonaniami przodowników pracy realizujących 150, a nawet 200 procent normy, nie chcąc wreszcie pisać o inteligentach z włosienicą na grzbiecie, kajających się za swoje inteligenckie pochodzenie – postanowiłem, że będę produkował tzw. thrillery. Wybrałem pośledni gatunek literacki, ale myślałem, że może, z czasem... Często nachodziła mnie pokusa, żeby, jak to się wówczas w kołach literackich mówiło, „przełamać się”, „zrzucić starą skórę”. Nie wiem, co mnie powstrzymywało od postawienia tego kroku. Tyle wiem, że nie chciałem kłamać, nie chciałem się brukać. Ale nawet pisząc „thrillery”, nie sposób było uciec od rzeczywistości. W ten sposób ja też się utytłałem i swoim pisaniem zatruwałem dusze czytelników.

Wtedy wybuchła tak zwana sprawa Bergu, wspaniały materiał na dreszczowiec. Napisałem na jej podstawie powieść pod tytułem „Nocny zrzut”. To jest wredna książka, niegodziwa, judaszowska, podła. Gdy dziś o tym myślę, przychodzi mi do głowy jeszcze jeden przymiotnik: obrzydliwa. Ale to zrozumiałem dopiero

później. Znalazłem tę książkę po latach w bibliotece Radia Wolna Europa w Monachium. Od czasu wyjazdu z Polski w 1957 roku zawsze myślałem, zawsze się bałem, że kiedyś przyjdzie chwila, gdy ktoś mi rzuci tą książką w twarz. I kolega redakcyjny, którego bardzo szanowałem, zapytał mnie kiedyś: „Jak mogłeś, jak TY mogłeś napisać coś takiego?”. Mnie wtedy zabolalo nie to, że mi zarzucił niecny czyn, mnie zabolalo to, że ta książka go uraziła, ja mu tą książką sprawilem przykrość, ja tą książką utwierdzałem jego powątpiewania o ludzkiej przyzwoitości. Bo on tym pytaniem nie chciał mi dokuczyć czy w jakikolwiek sposób mnie poniżyć, zresztą to było już po wydaniu mi przez Giedroycia „Krótkiego żywota bohatera pozytywnego”. A kilka lat później inny kolega, przyjaciel wówczas, też pisarz niedawno przybyły z PRL, zapytał mnie: „Dlaczego ty po prostu nie weźmiesz tej książki i jej nie spalisz?”.

Nie wziąłem, nie spaliłem. Myślę, że nie jest zabiegiem pochwalnym poprawianie swojej biografii zacieraniem śladów po czynach, które dziś potępiam. Jeśli już, to ślady należy zabezpieczać, aby nie fałszować historii, która nie jest przecież moją osobistą własnością. Nie sądzę, żeby była właściwa postawa tych naszych pisarzy, którzy swego czasu pełnili funkcję utrwalaczy władzy ludowej, a potem spuścili na ten okres zasłonę milczenia i zachowują/zachowywali się tak, jakby tej czarnej dziury w ogóle nie było.

Napisałem tę książkę. Ministerstwo Obrony Narodowej przyjęło ją do druku. Zanim jednak powzięto ostateczną decyzję, do Poznania, gdzie wówczas mieszkałem, przyjechał redaktor z wydawnictwa, niejaki pan Koźniewski. Przez dwa dni po kilka godzin dziennie siedzieliśmy u niego w hotelu „Bazar”, a pan Koźniewski, strona po stronie, linijka po linijce, układał ze mną, człowiekiem już zniewolonym, politycznie poprawny wydźwięk powieści. Pamiętam, jak w pewnej chwili na jakieś moje zastrzeżenie rzekł: „Proszę pana, MY Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam”.

MB: Kandydatów na Hamletów było wtedy jak na lekarstwo.

PG: Nie dodam sobie chwały, odpowiadając szczerze, że to miała być moja pierwsza książka i że zależało mi na tym, żeby wyszła. Tu zagrała moja próżność, w ten sposób zdobywałem wstęp do upragnionych kręgów, choćby tylko takich jak kawiarnia literatów na Krakowskim Przedmieściu. Cała ideologia, czyli tło fabuły, cały ten sztafaż górnolotnych pojęć zaczerpnięty z „Poradnika agitatora”, to wszystko było mi zupełnie obce, naprawdę mi wisiało.

Przez osiem lat pobytu w PRL, oprócz tego nieszczęsnego „Nocnego zrzutu” napisałem jeszcze trzy inne powieści kryminalno-sensacyjne, które zapewniały mi wcale dostatnie życie. Ale to były tylko czytadła, to nie była literatura i byłem

tego w pełni i boleśnie świadomy. Zawsze jakaś część mnie stała obok, gdzieś na stronie, i uważnym okiem mi się przyglądała i mnie oceniała. Przez tych osiem lat to drugie ja mnie potępiało, zarzucało mi zdradę, drwiło z mojego, tanimi środkami osiąganego, samozadowolenia. I gdyby nie to, że w skrytości ducha wiedziałem, że stać mnie na coś lepszego, byłbym zapadł na debilitujący kompleks niższości. Zresztą ten kompleks już we mnie dojrzewał: jaki ja się czasami czułem mały!

Z upływem tych peerelowskich lat to drugie, nieodstępujące mnie ja, coraz bardziej się do mnie dobierało, kłuło sumienie, roztaczając przede mną widok na grzęzawisko samozatracenia rozległe jak przedwojenne błota pińskie. Szedłem ku ruinie. Trzeba się było ratować, chodziło przecież o moją duszę.

Gdzieś wiosną 1957 zacząłem pisać powieść. Jej fragment opublikowałem w „Tygodniku Zachodnim” wychodzącym w Poznaniu, którego byłem jednym z redaktorów. Fragment nosił tytuł „Dzień po śmierci” i był zaopatrzony w motto zaczerpnięte od O`Neilla: „When Truth and Love and God are dead, it is time, full time, to die”. To był kawał solidnej, uczciwej prozy. Wstąpiłem na drogę odkupienia.

Mój skromny triumf na rodzimej glebie nie trwał długo. Fragment powieści ukazał się z datą 2 listopada 1957, a już pięć dni później, dokładnie 7 listopada, wraz z moją piękną angielską

żoną i dziesięcioletnim synkiem przekraczaliśmy w Kunicach granicę z NRD. Tego samego dnia znaleźliśmy się w Berlinie, a tydzień później wszyscy byliśmy już w Londynie. Żona z synkiem poleciała samolotem, ja pojechałem pociągiem, bo na trzeci bilet lotniczy nie mieliśmy już pieniędzy.

MB: Jak Pan myśli, jakie trupy siedzą w szafie przeciętnego Ślązaka?

PG: Proszę pana, jest takie powiedzenie angielskie, bodajże z Szekspira: „There but for the Grace of God goes I”, co mniej więcej znaczy, że tylko łaska boska uchroniła mnie przed podobnym (w domyśle: nieszczęśliwym) losem. Otóż gdyby Śląsk, mam na myśli Górny Śląsk, bo to jest moja kraina, mieścił się tam, gdzie historia usytuowała na przykład Małopolskę wschodnią czy gdzieś na północno-wschodnich rubieżach Drugiej Rzeczypospolitej, Ślązacy też, prawdopodobnie, nie zarzekam się, prawdopodobnie też mieliby niejedno na sumieniu. Ale u nas nie było zwartych skupisk żydowskich, więc kiedy Niemcy likwidowali getta czy żydowskie dzielnice w miasteczkach, Ślązacy nie czekali, aż naszych żydowskich braci Niemcy wywiozą do Oświęcimia czy innego obozu zagłady, żeby jak hieny rzucić się na rabunek pożydowskiego dobytku. U nas nie było Jedwabnego czy Radziłowa, ale gdyby geografia obeszła się z nami inaczej?... To właściwie wszystko, co można na ten temat powiedzieć. Całą reszta, w każdym człowieku inaczej, jest nie do

odgadnięcia. A gdyby ją można było odgadnąć, zobaczyć demony, które się w nas czają, to prawdopodobnie wszyscy skończylibyśmy w zakładzie dla obłąkanych.

MB: Ale czy to prawda, że Ślązacy są w środku inni? Powiedział mi kiedyś ks. prof. Jerzy Szymik, profesor KUL-u i poeta, że kiedy czytał Mickiewicza, doszło do niego, że nadniemeńska puszcza to nie jest jego las. Że jego las jest gdzieś pod rodzinnym Pszowem – to ten sam las opiewany przez romantycznego poetę niemieckiego Eichendorffa. Że na Śląsku ludzie mają inną mentalność od bohaterów „Pana Tadeusza”, że na Śląsku grzeszy się inaczej.

PG: Lubię „Pana Tadeusza”, głównie za piękną polszczyznę, która jest prosta, elegancka, nie zabagniona barokiem ani estetyczną pretensjonalnością. Takim językiem wciąż mówi kulturalny i wykształcony Polak. Ale postacie „Pana Tadeusza” są mi obce, to są kukły. Ładne to jest, owszem, ale to bajka, a jedyna postać, o której da się z żywością myśleć, to Telimena (któż by się z nią nie przespał). Mickiewicz tym utworem dał nam wzorzec pięknej polszczyzny, ale jednocześnie zacządził umysły pokoleń Polaków. Niestety. Polacy wciąż tęsknią za krainą, jaka nigdy nie istniała, identyfikują się z ludźmi wydumanymi na paryskim bruku, stworzonymi z tęsknoty.

Mnie „Pan Tadeusz” nie oczarował, nie uwiódł swoją własną

słabością. Nie tęsknię, nigdy nie tęskniłem za Soplicowem, to nie jest kraj moich dziecięcych baśni, nie tam leży Eden mojej niewinności. Mój las jest na Monisku w Zawadzkiem – istnieje do dziś, tak sam, jak wtedy, gdy byłem mały i na Monisku spędzałem moje letnie wakacje. Przechodziło się przez prostokątne, długie podwórze obok piekarnioka, obok haźla (co za ohydne słowo!), obok dwóch sosen, o które opierały się wysokie i proste jak strzała żerdzie, pomocne starzykowi przy gospodarstwie – on sam robił grabie, uzupełniał połamane części wozu itd. – i zaraz potem wychodziło się w las. Ten las był rozgrzany w słońcu, ten żar czułem na moich bosych nogach, powietrze nasycone zapachem gorącej żywicy drgało, iskrzyło się jak rodzaj czarodziejskiej zawiesiny, a potem, kilkanaście metrów dalej, w niezbyt głębokim wądole płynęła krystalicznie czysta Małapana, czyli Małapanew.

Często przed snem widzę siebie biegnącego drogą przez las obok rzeki, pędzę dwie krowy na pastwisko, potem siedzę albo leżę na miedzy i czytam polskie kalendarze wydawane, jeśli dobrze pamiętam, w Raciborzu, w których dużo było o Husytach i Taborytach. I owszem, niemal zawsze w ten sen, pół-sen wplątują się dźwięki fletów, trąbek, piszczałek chłopaków na Pustkach, po drugiej stronie rzeki, przemierzających ulice osady i śpiewających hitlerowskie i starogermańskie pieśni. Ale to mi nie przeszkadza, w niczym nie mąci słodczy i czaru tego wspomnienia.

MB: Ale to nadniemeńska puszcza zawładnęła polską zbiorową wyobraźnią, cała właściwie literatura polska była obrócona na wschodnią stronę.

PG: Kresy wschodnie dały nam Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, współcześnie Miłosza i wielu innych, którzy na trwałe zagospodarowali naszą kulturę, sztukę, wyobraźnię. I tego im zazdroszczę, tym dawnym kresom wschodnim. Na Śląsku tego nie mamy. Zastanawiam się, dlaczego tak jest. Nasuwa mi się taka odpowiedź: wszystko kulturalne i artystyczne, co stamtąd pochodzi, bierze się z tęsknoty. Tak jak gdyby oni wszyscy wiedzieli, że ich świat się kończy, coraz bardziej oddala. A tęsknota i nostalgia to doskonałe budulce sztuki. Śląsk natomiast, to znaczy nasz polski Śląsk nie miał jeszcze swego zenitu, my tu ciągle jeszcze patrzymy w przyszłość, tam, na zachód, i nie wiemy, jaka ona będzie. Proszę zwrócić uwagę, że Śląsk jest utraconym Edenem dla niemieckojęzycznych pisarzy śląskich, którzy musieli go opuścić.

MB: Jacy są Ślązacy? Jacy byli Ślązacy, których Pan pamięta?

PG: Na Śląsku dominującą była kultura i cywilizacja niemiecka. To dało Ślązakowi szacunek do pracy, honor, który się w pracy zawiera, wytrzymałość. Ślązak jest mocny i twardy, na Śląsku słabeuszami się zawsze gardziło (czego lud chrześcijański nie powinien robić), za niedołęgami leciały wyzwiska. Ślązacy

zawsze mieli w wysokiej estymie prawo, tu nie było anarchii, Ślązak potrafił sobie narzucić dyscyplinę. Ślązak nigdy nie płaszczył się przed drugim człowiekiem, nie „kłaniał się czapką do ziemi”, jak to czynił wobec Stalina Władysław Broniewski, choć z drugiej strony serdecznie go nienawidził. Na Śląsku nie widziało się tej niezaradności, jaka była niemal powszechna w dawnym zaborze austriackim czy rosyjskim, tej ślamazarności, zatrważającego braku higieny osobistej chłopca polskiego, co to się mył raz na miesiąc, a o szczotce do zębów nigdy nie słyszał.

MB: A wady? Nie mają wad? Nie są zbyt pasywni, nieśmiali, wręcz „dupowaci”, jak mówią nawet ślascy publicyści? Czy nie przez tę pasywność wyjeżdżali, zamiast trwać i opierać się, za łatwiejszym chlebem do Niemiec?

PG: Tym, co mówią o śląskiej „dupowatości” (i niech im Pan Bóg za to odpuści lub przynajmniej skróci męki piekielne), dedykuję następującą historyjkę. Mój ojciec urodził się w rodzinie robotniczej w roku 1894 w Zawadzkiem. Walczył w Reichswerze, a potem w dwóch powstaniach śląskich. Kiedy po plebiscycie Zawadzkie przypadło Niemcom, ojciec przeprowadził się do Tarnowskich Gór. Pracował na pocztach, najpierw jako listonosz, potem jako urzędnik „w okienku”, co było wielkim awansem. Prenumerował „Polonię”, która była związana z Wojciechem Korfantym. Ja, nie podzielając jego chadeckich poglądów, wychowałem się w jego kulcie. W „Polonii” pisywał jeszcze

Aleksander Świętochowski, mój ojciec czytywał jego olbrzymie artykuły, a jak trafił na słowo, którego nie znał, mnie się pytał.

W trzydziestym którymś roku, zaciągnąwszy pożyczkę w Banku Gospodarstwa Krajowego, ojciec wybudował dwupiętrowy dom. Przez pewien czas mieszkanie na piętrze zajmowała „pani doktor”, pochodząca z Kongresówki czy z Galicji, nie pamiętam. Miała dwie córki. Uczyła języka polskiego w gimnazjum żeńskim. Mieszkanie składało się z trzech pokoi, dużej kuchni, spiżarni, tzw. antryjki, ubikacja, dla każdego mieszkania osobno, znajdowała się na klatce schodowej. Pani doktor zatrudniała służącą, też gdzieś ze swoich stron, która spała na podłodze w antryjce i była brudna. Otóż tam u nich w kuchni na stole i na podłodze było wszystko: obierzyny po kartoflach, brudna bielizna, butelki, w których pleśniała się pleśń, niemyte garnki i talerze, książki, rozsypane sterty zeszytów szkolnych do poprawiania. Smród przenikał aż na klatkę schodową. I któregoś dnia mój ojciec poszedł na górę i powiedział: „Pani doktor, ja panią przepraszam, ale pani się musi stąd wyprowadzić, inaczej mi pani cały dom zapaskudzi”.

A w sprawie wyjeżdżania Ślązaków do Niemiec. Miałem wujostwo w Imielnicy, w pobliżu Zawadzkiego. Był to w miarę zamożny i szacowny gospodarz. Tak zwana Polska Ludowa lżyła go, że nie jest Polakiem, upokarzała go, tzw. autochtona, na każdym kroku, dobijała podatkami, domiarami i Bóg wie, czym

jeszcze. Wujostwo umarli, a cała reszta rodziny przeniosła się do Niemiec Zachodnich. Nie mam im tego za złe. Tam odzyskali godność ludzką. Człowiek ma tylko jedno życie i nie można go winić za to, że stara się przeżyć to życie w sposób możliwie bezbolesny. Nikt nie lubi, gdy mu się pluje w twarz. (...)

MB: Czy... drzwi Pańskiej szafy jeszcze czasem... skrzypią?

PG: Do Polski, kiedy ponownie stała się wolna, przyjechałem dopiero w roku 1994. Zwlekałem, powodowany w dużym stopniu obawą o wstyd, z jakim – myślałem – przyszłoby mi się zmierzyć. I rzeczywiście, hydra pytająca o ten nieszczęsny „Nocny zrzut” podniosła swój łeb. W drugim dniu pobytu w Polsce byłem w Poznaniu, kiedy pewna pani zapytała mnie, jak się zapatruję na tę powieść w świetle wszystkiego, co się w Polsce stało po roku 1989. W pokoju zaległa cisza. Ciężka i złowieszcza jak ołowiane wieko trumny. Oczy całego towarzystwa przebijały na wskroś mój wąły korpus niczym strzały św. Sebastiana. Gospodarze domu, z gościnności których korzystałem, zresztą przyjaciele z dawnych lat, doświadczyli, widziałem to w ich oczach, w spojrzeniach, jakie między sobą wymienili, doświadczyli, powiadam, chwili głębokiego zakłopotania, mnie zaś zrobiło się bardzo przykro, że ich na coś podobnego mimo woli naraziłem. Kolega w Monachium pytał przed laty: „Piotrze, jak ty mogłeś coś takiego napisać?”, jego bolało, że ja się tą książką upodliłem, ale nie pytał mnie po to, żeby mi dokuczyć, żeby się nade mną

pastwić. Natomiast ta pani, której wilcze oko tkwiło we mnie niemiłosiernie, świadome zadanej mi rany, tę ranę swym przeciągłym spojrzeniem rozdrapując, otóż ta pani triumfowała, jej korpulentne ciało stało się jakby nieważkie, jakby przewyciężyło swoją małą posturę i lewitując, unosiło się w powietrzu. Ja zaś pod jej wzrokiem wiłem się jak nadepnięta dżdżownica.

Ale spojrzenia gospodarzy, pełne przyjacielskiego zatroskania i chęci moralnego wsparcia, pomogły mi w odzyskaniu równowagi. Odpowiedziałem, że się tej książki wstydzę, że od wielu lat siedzi we mnie poczucie winy, że nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się z tego grzechu oczyścić. Nie wspomniałem przy tym o twórczym udziale pana Koźniewskiego w przypasowaniu książki do obowiązującej wówczas ideologicznej poprawności, gdyż to mogłoby wyglądać na próbę choćby tylko częściowego zwalania z siebie winy. Ale wątpię, żeby moja wypowiedź znalazła łaskę w oczach usiłującej mnie pognębić pani.

Jednak gdy tylko skończyłem, zacząłem jakoś inaczej na nią patrzeć. Zrozumiałem, że dzięki niej sam siebie skonfrontowałem i to publicznie. Poczułem ogromną ulgę. Po raz pierwszy w Polsce w ten sposób się otworzyłem przed kimś, to był dla mnie przełom, nigdy tego nie zapomnę. I właściwie jestem tej pani wdzięczny. Że zrobiła to w sposób toporny, to już inna sprawa, ale ona miała prawo do swoich zarzutów. To była wredna

książka. Pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelnika utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, która w podstępny sposób mówiła, że inaczej już nie będzie, nie może być i z tym się należy pogodzić.

Czy uporałem się z już z własnymi trupami w szafie, bo o to mnie pan przecież zapytał? To, co napisałem i wydałem od czasu wyjazdu z Polski w 1957, jest chyba taką próbą. Ale chciałbym podkreślić, że pisząc, daleka mi była myśl, że w ten sposób dokonuję rozrachunku z samym sobą i się oczyszczam. „Krótki żywot bohatera pozytywnego” powstał na podstawie pewnego wydarzenia, które miało miejsce w Tarnowskich Górach. Mąż znajomej mi osoby – w gimnazjum był o jedną klasę niżej ode mnie – funkcjonariusz bezpieczeństwa, po sprawie Różańskiego i Fejgina przestraszył się, że on też pójdzie siedzieć i wsadził głowę do pieca, odkręciwszy wszystkie kurki. A gdyby zamiast wybierać śmierć, postanowił się bronić? Z takiego postawienia sprawy zrodziła się ta powieść. Dostałem za nią nagrodę paryskiej „Kultury”. Stałem się pisarzem, już nie musiałem w skrytości ducha się wstydzić ani obłaskawiać swojego kompleksu niższości. A kilka lat później za powieść „Stan wyjątkowy” zostałem nagrodzony przez londyńskie „Wiadomości”, wciąż redagowane przez Grydzewskiego – pismo, w którego wersji przedwojennej pisywali Żeromski, Nałkowska, Wierzyński, cała plejada najlepszych pisarzy polskich. Doprawdy, pisarz

emigracyjny nie mógł marzyć o większych laurach.

Ale grzech, dlatego tylko że został ujawniony, nie przestaje być grzechem i nie przepada w jakiejś czarnej dziurze.

Marek Baster, dziennikarz, redaktor miesięcznika „Śląsk”, współpracownik m. in. „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej” i „Polityki”, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przeprowadził wiele świetnych wywiadów. Jego rozmówcy, wybitni artyści, naukowcy, politycy zwierzali mu się z rzeczy i spraw, których nikomu innemu by nie powiedzieli.

Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 7 kwietnia 2004 r.

Ścieżki nauki, ścieżki historii

Józef Lityński (1928-2013) był geofizykiem, klimatologiem, profesorem Université du Québec à Trois-Rivières,

działaczem polonijnym, wieloletnim prezesem Instytutu Naukowego w Kanadzie. Rozmowa odbyła się w Montrealu w 2004 roku.



Józef Lityński w swoim domu w Montrealu, fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Jest pan prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie. Mieszka pan w Montrealu, gdzie mieści się centrala, ale musi pan czuwać nad czterema

oddziałami, nie tylko w Montrealu, ale i w Ottawie, Toronto i Vancouver. Instytut działa więc w całej Kanadzie, bo tak na wschodnim, jak i na zachodnim wybrzeżu.

Józef Lityński: Teoretycznie działamy w całej Kanadzie, choć z Vancouver kontakty są utrudnione, ze względu na odległość. Z Ottawą mamy dobry kontakt. Natomiast z Toronto przez wiele lat dobrze nam się współpracowało, no ale ostatnio działalność oddziału osłabła i jesteśmy w trakcie jej uaktywniania. Dwa lata temu byłem też w Halifaxie, z nadzieją na otworzenie tam oddziału Instytutu. Przyjęty zostałem entuzjastycznie, na spotkanie przyszło ok. 40 osób, byłem więc przekonany, że oddział będzie aktywny. No, ale niestety nic z tego nie wyszło. Mimo że Halifax leży na wschodnim wybrzeżu, ale widać to też daleko.

JSG: Na czym w tej chwili polega działalność Instytutu?

JL: Główną naszą działalnością jest prowadzenie Biblioteki Polskiej im. Wandy Stachiewicz w Montrealu. Poza tym, mniej więcej 3-4 razy do roku, organizujemy odczyty na różne tematy. Parę lat temu były to głównie tematy historyczne, a teraz w ramach Koła Naukowego wypowiadają się też biolodzy, lekarze, ja miałem odczyt na temat klimatu itd. W Montrealu mamy wielu polskich biologów. To jest tradycja zapoczątkowana przez jednego z członków-założycieli Instytutu, prof. W. G. Penfielda z

Uniwersytetu McGill. Poza tym Instytut bierze udział w wielu akcjach, np. w programie, skierowanym do młodzieży polskiego pochodzenia z Kanady i USA „Polska w Górach Skalistych”. Co roku uczestniczymy w organizowaniu Uniwersytetu Letniego Kultury Polskiej w Rzymie. Wysyłamy tam zarówno uczestników, jak i wykładowców. Ja też miałem tam kiedyś cykl trzech wykładów historycznych. Mimo, że historia nie jest moją specjalnością zawodową, bardzo się nią interesowałem i interesuję nadal. W Montrealu, miałem cykl wykładów, trwający ok. 2 lata, na temat najnowszej historii Polski. O dziwo, cieszyły się dużą frekwencją, ludzie przychodzili regularnie, a ja na przygotowanie tych odczytów, poświęcałem więcej czasu, niż na przygotowanie wykładów uniwersyteckich. (...)

JSG: Polski Instytut Naukowy w Kanadzie powstał jeszcze podczas wojny z inicjatywy polskich intelektualistów.

JL: PIN powstał w październiku 1943. Początkowo był filią Instytutu amerykańskiego, który został rok wcześniej zorganizowany przez polskich emigrantów przybyłych do Ameryki zaraz po wybuchu wojny. Część z nich przyjeżdżała też do Kanady, niektórzy wykładali na Uniwersytecie McGill, jak np. światowej sławy historyk profesor Oskar Halecki. W Montrealu również mieszkała duża grupa polskich uczonych, artystów, intelektualistów. Profesor Halecki i kilku jego współpracowników doszli więc do wniosku, że warto założyć kanadyjską filię tego

instytutu. Dużą rolę w tworzeniu Instytutu odegrał wspomniany już neurolog prof. W. G. Penfield. Uczni ci w większości byli członkami Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, nawet Kanadyjczyk, prof. Penfield. Dzięki wstawiennictwu tych osób, Instytut dostał lokal na Uniwersytecie McGill, skromniejszy niż mamy dziś, ale dobry na początek. Dzisiaj mamy do dyspozycji cały dom przy ulicy Peel, czyli w centrum Montrealu, przy uniwersytecie, i co jest bardzo ważne, jest to lokal darmowy.



Biblioteka powstała dzięki inicjatywie pani Wandy Stachiewicz, żony byłego szefa sztabu Armii Polskiej z 1939 roku, Wacława Stachewicza. Generał Stachewicz był internowany w Algierii czy

w Maroku, i dopiero chyba w 1944 roku został zwolniony i wyjechał do Anglii. Jednak do wojska go nie wzięto, mimo że zaoferował swój udział w walce nawet jako szeregowiec. Pani Stachewiczowa znalazła się w Kanadzie zaraz na początku wojny, tak jak i wiele innych rodzin, które zostały tu przysłane z Anglii. Jej mąż przyjechał jakiś czas po wojnie. Po przyjeździe czynnie włączył się w prace Instytutu. Biblioteką zaś cały czas zajmowała się pani Wanda, kobieta niespożytej energii. To dzięki niej biblioteka tak się rozwinęła, że dziś jest największą polską

biblioteką na tym kontynencie. A my staramy się, żeby tak zostało. (...)

JSG: Odejdźmy na chwilę od Polski, jej historii i kultury. Osiągnięcia w różnych dziedzinach nauk zdobywane przez Polaków, ich wkład w naukę światową, popularyzują imię Polski. Pana dziedzina, klimatologia, ma stały wpływ na życie wszystkich mieszkańców ziemi. Wykładał pan przez szereg lat na Université du Québec a Trois-Rivieres, prowadził pan badania na północy Kanady, na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce. Zapytam więc się pana o zagadnienie z dziedziny, w której jest pan specjalistą. Czy klimat na ziemi się oziębia, czy ociepla?

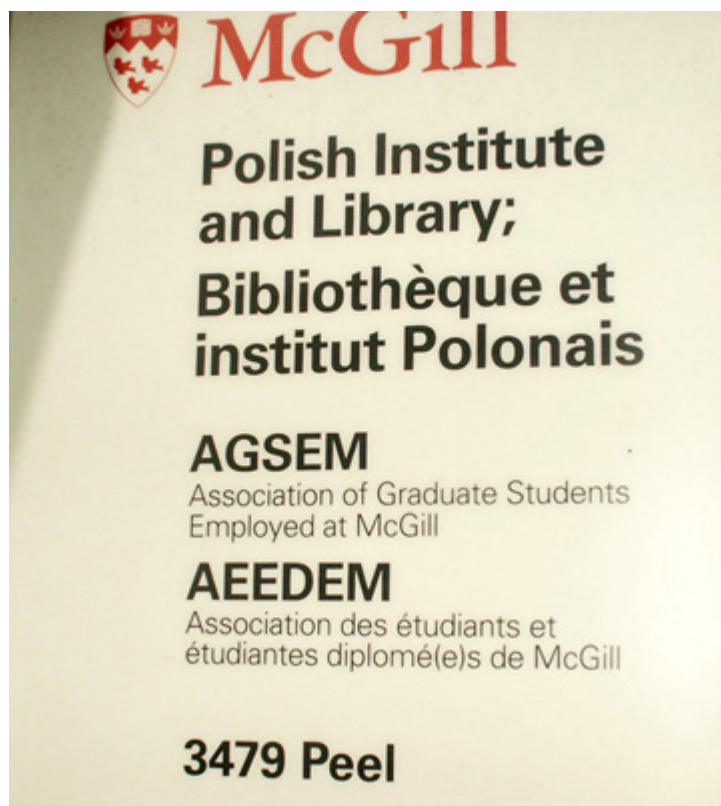
JL: Z meteorologią, jest jak z medycyną, nie ma nic pewnego, ale jest dużo argumentów, które przemawiają za ochładzaniem się klimatu. Prognozy globalnego ocieplenia powstają tylko na podstawie wyników, które się otrzymuje testując modele. Modelując cyrkulację atmosferyczną i oceaniczną, oblicza się, co będzie za rok, za 10 czy za 100 lat. Lecz jeśli model wykonany jest na podstawie dzisiejszej wiedzy, to użyty do prognozy za 10 lat jest mniej dokładny, a za 100 lat już bardzo niepewny. Tak więc, prognozy, które mówiły, że już powinno nastąpić ocieplenie, nie sprawdzają się, bo ocieplenia nie ma. Po przejściowym ociepleniu z kulminacją w 1998 roku, klimat się wyraźnie ochładza. Tak samo nie znajdują potwierdzenia prognozy, mówiące o tym, że najszybciej klimat będzie się

ocieplał w obszarach podbiegunowych, dlatego, że dane dotyczące lodowców, nie są skorelowane z temperaturą. Np. w okresie tzw. małej epoki lodowcowej (od ok. 1550 do 1750 r.n.e.), na podstawie opisów wypraw na wody północne stwierdzono, że lodów było mniej niż w poprzednich epokach. Dopiero potem ilość lodów się zwiększyła. Tak więc zjawiska lodowe pojawiają się z pewnym opóźnieniem w stosunku do temperatury. Jeśli stwierdzono, że pokrywa lodowa Arktyki jest cieńsza, to nie świadczy to o globalnym ociepleniu, bo ten fakt nic nie mówi, ani o temperaturze, ani o tendencjach. Ja zrobiłem dość dokładne studium temperatury wszystkich kontynentów. Wyraźnie z niego wynika tendencja ujemna, a nie dodatnia. Na Arktyce, temperatura owszem podniosła się w latach 50., ale potem opadła. Na kanadyjskich stacjach arktycznych, przez dwa kolejne lata 1998-99 temperatura nagle wzrosła o 4 stopnie. Wtedy zwolennicy globalnego ocieplenia krzyczeli – tak, już mamy ocieplenie. No, ale w kolejnych dwóch latach temperatura spadła, też o 4 stopnie.

JSG: Jakie mogą być konsekwencje dla życia na ziemi, jeśli klimat się znacznie oziębi?

JL: Przed paroma miesiącami opublikowana została tzw. prognoza klimatyczna dla Pentagonu. Amerykanie jej nie ujawniali, ze względu na możliwą panikę. Ale dziennikarze ją odkryli i opublikowali w którymś z angielskich pism. Ta prognoza jest katastroficzna. Według niej

w ciągu najbliższych lat ma znacznie spaść temperatura, a w wyniku tego zaczną tworzyć się lodowce. Oczywiście konsekwencje takiej zmiany klimatu byłyby dramatyczne. Ludzie zaczęliby umierać z głodu, bo ziemia, która teraz ma nadprodukcję żywności, nagle nie rodziłaby tyle, ile trzeba. Ja jednak uważam, że kierunek prognozy jest właściwy, natomiast nie sędzę, aby to ochłodzenie nastąpiło tak nagle. Ono może być dość nagle dla Skandynawii, gdyż tam temperatura jest wyższa o ok. 15 stopni, w stosunku do temperatury na tej samej szerokości geograficznej np. W Kanadzie, ze względu na Golfstrom. Prąd ten niesie nieprawdopodobne ilości energii z obszarów tropikalnych do obszarów północnych. W przypadku, gdyby uległ on zmniejszeniu, Skandynawia by to bardzo odczuła. No i oczywiście odbiłoby się to na całej Europie. Gdyby Golfstrom się



zatrzymał, w Skandynawii temperatura od razu spadnie o 5 stopni, natomiast w pozostałej Europie, o 2-3 stopnie. To wystarczy, aby na Półwyspie Skandynawskim zaczęły tworzyć się lodowce, a w reszcie Europy zima była dużo surowsza i dużo dłuższa.

JSG: Ale mówił pan, że według pana taka prognoza nie nastąpi zbyt szybko.

JL: Uważam, że nie może być tak, że pewnego dnia nagle zrobi się zimno. Chociaż są klimatolodzy, którzy tak twierdzą. Wszystkie zjawiska meteorologiczne i klimatologiczne są fluktuacjami. W naturze prawie wszędzie są ujemne sprzężenia zwrotne. To znaczy, że jeśli jakieś zjawisko wychyla się w jedną stronę, to natychmiast są uruchamiane mechanizmy, które je ściągają z powrotem. Jest tylko kilka zjawisk, w których występują sprzężenia dodatnie, ja je nazywam katastroficznymi, gdyż jeśli się utrzymują, muszą prowadzić do katastrofy. Są to np. reakcje jądrowe. W klimatologii zidentyfikowałem trzy sprzężenia katastroficzne. Jest to temperatura i dwutlenek węgla, temperatura i para wodna oraz temperatura i tzw. albedo – czyli zdolność odbijania promieni słonecznych przy powierzchni ziemi. I tak np. jeśli zwiększy się ilość dwutlenku węgla i temperatura nieznacznie wzrośnie, to produkcja dwutlenku węgla wzrasta. Mogłoby więc dojść do katastrofy. Ale nie dochodzi. To samo jest z parą wodną, czy albedo. Tylko na

pewnym odcinku sprzężenia zwrotne są pozytywne, później się kończą. Zwolennicy globalnego ocieplenia nie chcą uznać, że dwutlenek węgla powoduje ocieplenie tylko do pewnej granicy, a później sprzężenie niknie. Bo gdyby było inaczej, to dawno byśmy mieli katastrofę klimatyczną na ziemi. Widać są jakieś powody, które zatrzymują to zjawisko. W artykule, który właśnie wysłałem do Polski do publikacji, wykazuję, że dwutlenek węgla nie będzie tak się zwiększał, gdyż pochłanianie dwutlenku węgla przez system naturalny, tzn. roślinność i plankton z oceanach, jest proporcjonalne do ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Aby więc podwoić ilość dwutlenku węgla (tak jak zwolennicy ocieplenia wykazują na modelach i mówią, że w ciągu 20 lat to nastąpi), musielibyśmy produkować 28 razy więcej dwutlenku węgla.

JSG: Na czym polegały badania, które przeprowadzał pan na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce...

JL: Na Madagaskarze brałem udział w programie Światowej Organizacji Meteorologicznej ochrony przed cyklonami. Spotykane tam depresje tropikalne wyrządzają wielkie szkody. Rocznie pojawia się na tym terenie średnio siedem cyklonów tropikalnych. Najwięcej jest ich na wschodnim wybrzeżu, gdyż z reguły przychodzą znad Oceanu Indyjskiego. Światowa Organizacja Meteorologiczna, na prośbę służby meteorologicznej z Madagaskaru, dała fundusze i wysłała ekspertów, aby

zorganizowali ochronę przeciwko cyklonom. Ja nie jestem specjalistą od cyklonów, pojechałem jako klimatolog. W ramach tego projektu zostały wybudowane trzy stacje radarowe, postawiono japońskie radary, które określały miejsce i siłę cyklonu. Dawało to czas na ostrzeżenie odpowiednich służb. Radary prezentowały się bardzo pięknie i początkowe prace wskazywały na dobre ich funkcjonowanie. No, ale specjaliści japońscy wyjechali, radary zaczęły się psuć i nie było nikogo, kto by potrafił je naprawić. Pracował wówczas z nami świetny amerykański specjalista. Na podstawie zdjęć satelitarnych potrafił powiedzieć, w którym miejscu powstaje cyklon, mimo, że jeszcze go tam nie było. Miejsce na zdjęciu, które wskazywał, było mniejsze niż łypek od szpilki. On nie tylko widział tworzenie się cyklonu, ale potrafił też określić siłę, z jaką cyklon przyjdzie. Tak więc automatyzacja w obserwacjach meteorologicznych jest bardzo dobra, ale musi być połączona z obsługą, która jest do dyspozycji w każdej chwili. Maszyna może pomóc, ale nie wyeliminuje człowieka.

JSG: Mówił pan o Polakach, którzy tworzyli Instytut. A jak pan się znalazł w Kanadzie?

JL: Wyjechałem najpierw do stryja, który mieszkał w Kalifornii. Oficjalnie wyjechałem z Polski na wakacje. Pracowałem wówczas na Politechnice Warszawskiej. Był to okres po wydarzeniach 1968 roku, na uczelniach w Polsce panowała bardzo zła

atmosfera, zaczynały się represje. Pomyślałem więc, że jeśli uda mi się dostać paszport, to wyjadę. Jeżeli Sowieci zajmą Czechosłowację, zostanę za granicą, a jeśli nie, wrócę do Polski. Miałem wówczas 39 lat i nie chciałem się jeszcze jakieś 20 lat borykać, żeby w życiu coś osiągnąć. Wydawało mi się też, że za granicą można więcej zrobić dla Polski. Wtedy ważne było propagowanie na zachodzie idei niepodległej Polski. Natomiast w Polsce można było oczywiście pracować i to było bardzo potrzebne dla kraju, ale działalność polityczna nie była możliwa.

Po kilku miesiącach pobytu u stryja w San Raphael, zacząłem myśleć o wyjeździe do Kanady. Mimo że stryj pięknie mieszkał, ale ja źle się tam czułem, zapewne ze względu na język, bo mój angielski był słaby, natomiast dobrze mówiłem po francusku, gdyż pracowałem wcześniej przez 2 lata w Kongo Belgijskim. Nawiązałem więc kontakt z Uniwersytetami w Quebecu i dostałem zaproszenie na interview z Uniwersytetu Laval w mieście Quebec. Mimo że przyjazd do Kanady nie był taki prosty, gdyż nie chciano mi dać wizy kanadyjskiej, przez znajomych postarałem się o zaproszenie i dostałem wizę turystyczną. W międzyczasie Rosjanie zajęli Czechosłowację, zdecydowałem się więc na pozostanie za granicą. Przyjechałem do Kanady pod koniec listopada. Był to akurat taki rok, w którym zima bardzo wcześnie się zaczęła. W Quebecu leżała już stopa śniegu. – Do ładnego kraju przyjeżdżam – pomyślałem. Ale ja zimę bardzo lubię. Zawsze czekałem, żeby w Polsce były takie

śniegi, jak to opisywano w książkach, z wykopanymi tunelami i przejściami. W Polsce nigdy takiej zimy nie widziałem, więc bardzo mi się spodobało. Wtedy można było stosunkowo łatwo na stałe zostać w Kanadzie. Były to złote czasy dla emigrantów. Szybko dostałem prawo pobytu i pozwolenie na pracę, a w ciągu dwóch tygodni otrzymałem pierwsze kanadyjskie zatrudnienie – *post doctoral* na uniwersytecie Laval, na wydziale geografii. Nie jestem geografem, tylko fizykiem, magisterium zrobiłem z geofizyki, a doktorat z meteorologii i klimatologii. Geografowie mają chyba trochę kompleksów na punkcie fizyków czy matematyków, więc byli szczęśliwi, że jakiś fizyk chce u nich pracować. No, a dla mnie był to nie tylko zaszczyt, ale i możliwość normalnego życia.



Université du Québec à Trois-Rivières.

Otrzymałem kontrakt tylko na dziewięć miesięcy, do końca września. Na całe lato, od końca maja, aż do połowy sierpnia uniwersytet mnie wysłał na daleką północ Kanady, by tam prowadzić prace badawcze. To było wspaniałe, niesamowite przeżycie, tam jest na prawdę pięknie, mimo much i komarów. Zorganizowałem tam sieć lokalnych stacji meteorologicznych. Czas jednak leciał, mój kontrakt zbliżał się do końca. Jeszcze przed wyjazdem wysłałem listy ze swoją ofertą na inne uniwersytety. W połowie lipca dostałem list z Uniwersytetu w Trois-Rivieres. Był to właśnie powstający uniwersytet, pierwsze wykłady miały się zacząć we wrześniu. Miałem szczęście, bo powstawało wówczas od razu kilka filii, w sumie potrzebowali więc ok. 1000 profesorów. Zaproponowali mi pracę na wydziale geografii. Napisali, że miałbym wykładać klimatologię i... pedologię. Ta pedologia mnie przestraszyła, bo nawet nie wiedziałem, co to znaczy. Ale doszedłem do wniosku, że jeżeli będę mieć wątpliwości to zrezygnuję z mojej kandydatury, więc odpisałem, że chętnie podejmę się tej pracy. W końcu i pedologii można się nauczyć.

Teraz wiem, że to jest nauka o glebie. W liście podałem, że mogę przyjechać na interview, ale tylko w określony dzień tygodnia, w środę bodajże, gdyż z dalekiej północy samolot kursował raz na tydzień. Dostałem odpowiedź, że rezygnują z interview i angażują mnie do pracy. Ponieważ mój kontrakt na Laval jeszcze obejmował wrzesień, więc przez miesiąc pracowałem na dwóch

uniwersytetach. I tak się zaczęła moja kariera uniwersytecka. Na wydziale geografii na tym uniwersytecie pracowałem aż do emerytury, czyli do lata 1993 roku. Będąc już na emeryturze jeszcze przez dziewięć lat, prowadziłem wykłady zlecone z klimatologii. W ciągu pracy na uniwersytecie, miałem jeden roczny urlop bezpłatny, kiedy pracowałem dla Światowej Organizacji Meteorologicznej na Madagaskarze. A potem miałem jeszcze dwa razy rok sabatowy, pierwszy rok spędziłem we Francji i wykładałem na uniwersytecie w Aix-en-Provence, a drugi rok – w Polinezji, w Nowej Kaledonii, gdzie prowadziłem badania meteorologiczne.

JSG: Jaką uczelnię skończył pan w Polsce, skoro przygotowała pana do takiej kariery uniwersyteckiej?

JL: Zaczynałem we Wrocławiu. Pierwsze dwa lata zaliczyłem na uczelni, która się wtedy nazywała Uniwersytet i Politechnika Wrocławska (zanim jeszcze nadali jej straszną nazwę im. Bieruta). Ale jestem warszawiakiem. Z Warszawy wyjechałem tylko dlatego, że się nie mogłem dostać na studia, bo byłem „wrogiem ludu”. A byłem wielkim wrogiem ludu, gdyż mój ojciec był przed wojną pułkownikiem, i co gorsze, został za granicą. Tak więc byłem na czarnej liście i nie dostałem się, pomimo że egzaminy na Politechnikę Warszawską zdałem bardzo dobrze. Jak to przypadek czasami zmienia losy człowieka. Gdybym się dostał, byłbym inżynierem elektronikiem, bo elektronika była

moim głównym zamiłowaniem, a ponieważ nie mogłem się dostać, spróbowałem na fizykę we Wrocławiu i tam się dostałem.

Po studiach pracowałem jakiś czas w Państwowym Instytucie Hydrologiczno-Meteorologicznym w Warszawie. Następnie związałem się z Instytutem Matematyki na Politechnice Warszawskiej, najpierw jako asystent, potem wykładowca.

JSG: Czy mógłby pan opowiedzieć o swoim ojcu, pułkowniku, z powodu którego był pan „wrogiem ludu”?

JL: Przed wojną mój ojciec był dowódcą pułku, stacjonującego w Nowej Wilejce, która należała wówczas do Polski. Stacjonowały tam trzy pułki – 85 pułk strzelców wileńskich, 13 pułk kawalerii i 19 pułk artylerii. Był to jeden z większych ośrodków wojskowych w przedwojennej Polsce. Miasteczko było małe, ale koszary, oddalone o jakieś 3 km, stanowiły duży kompleks. Ja się urodziłem się w Warszawie, ale mój młodszy brat urodził się w Nowej Wilejce i to akurat w dzień święta pułkowego. Odbyła się wtedy wielka była uroczystość, syn dowódcy, dostał pamiątkowy dyplom itd.



Sztandar V Dywizji
Kresowej.

Potem mój ojciec był szefem sztabu Armii Poznań w 1939 roku i z tą Armią przeszedł kampanię wrześniową. Po walce nad Bzurą część armii przebiła się do Warszawy. W ostatnim tygodniu obrony Warszawy ojciec był w stolicy, a po kapitulacji dostał się do niewoli, do obozu dla oficerów w Murnau w Bawarii. Kiedy 30 kwietnia 1945 roku Amerykanie wyzwolili ten olbrzymi obóz (7 tysięcy oficerów, głównie Polacy z kampanii wrześniowej), zorganizowali transport do Włoch i większość z nich została wcielona do II Korpusu gen. Andersa. Mój ojciec został mianowany zastępcą V Dywizji Kresowej i aż do ewakuacji do Wlk. Brytanii przebywał we Włoszech. Po przyjeździe do Anglii został kierownikiem wydziału w biurze historycznym.

Początkowo biuro mieściło się przy polskim dowództwie, a gdy dowództwo zostało rozwiązane, stało się jednostką samodzielną, a pracujący tam ludzie opłacani byli ze skarbu narodowego, czyli przez rząd londyński. Ojciec prowadził referat, który opracowywał historię udziału polskich sił zbrojnych w II wojnie światowej, a w szczególności opracowywał kampanię wrześniową. Praca „Polskie siły zbrojne w II wojnie światowej”, była wydana pod redakcją mojego ojca.

Ja ojca zobaczyłem dopiero w 1957 roku, rok przed jego śmiercią. Udało mi się wyjechać na zachód po październiku 1956 roku. Dostałem wówczas po raz pierwszy paszport i na dwa miesiące pojechałem do ojca do Anglii. Mogłem wtedy zostać, ojciec mi powiedział – ja cię nie namawiam do zostania, bo tam w Polsce ludzie są potrzebni, ale jeśli byś się kiedyś zdecydował, to ja ci tutaj pomogę.

JSG: I po tym pobycie u ojca w Anglii, pan się jednak zdecydował wrócić do Polski?

JL: Wtedy zdecydowałem się na powrót. Po październiku 1956 panowała taka euforia, wydawało się, że jednak da się coś w tej Polsce zrobić. Ojciec chciał wrócić do Polski, ale zdawał sobie sprawę z tego, czym to grozi. Było mu jednak ciężko. Ja i mój brat byliśmy w Polsce, nasza matka zmarła podczas Powstania Warszawskiego. Ale ojciec cały czas miał wyrzuty sumienia, że

nie wrócił do Polski. Gdy spotkaliśmy się na dworcu Victoria w Londynie, pierwsze o co zapytał to – czy uważasz, że dobrze zrobiłem? Ja na to – pewnie, przecież byś zrobił największe głupstwo jakie można zrobić, wiesz dobrze, co się stało z innymi. Płk. Białkowski mimo, że wyszedł żywy z więzienia, był w taki stanie, że na wolności żył tylko dwa miesiące, a płk. Minakowski, nasz sąsiad, który służył w lotnictwie i był ewakuowany na zachód, po powrocie został rozstrzelany. I wielu innych kolegów mojego ojca spotkało to samo.

JSG: Czy pana stryj, do którego pan przyjechał do Kalifornii, też był oficerem?

JL: Stryj był oficerem rezerwy artylerii konnej. Przed wojną pracował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. W sierpniu 1939 roku wyjechaliśmy ze stryjem pod Stanisławów, odwiedzić babcię, która miała tam majątek. Mimo, że trwały ostatnie przygotowania do wojny, ojciec powiedział stryjowi, że to może być ostatnia okazja, żeby zobaczyć matkę. Obiecał, że w razie gdyby już coś wiedział, przyśle telegram. Było wtedy pięknie, ciepło, wspaniałe lato. Wybieraliśmy się na wędrowkę w góry. Bardzo się cieszyłem, była to dla mnie, 10-letniego wówczas chłopca, wielka atrakcja. Nigdy wcześniej nie brałem udziału w takiej turystycznej eskapadzie. Wycieczka planowana była na niedzielę.

I akurat w tą niedzielę przyszedł telegram od mojego ojca - przyjeżdżaj natychmiast. Telegram był wysłany 26 rano, gdyż 25 Niemcy zdecydowali, że uderzą na Polskę, właśnie 26 o 5 rano. Wszystkie rozkazy były już wydane. I polski wywiad się o tym dowiedział. Jednak Hitler zdecydował się odwołać atak, gdyż o 5 po południu otrzymał trzy, bardzo niekorzystne dla niego wiadomości. Po pierwsze wywiad niemiecki doniósł, że trzy czwarte armii polskiej jest już zmobilizowanej. A Niemcy mieli zmobilizowanych dopiero połowę sił. Hitler myślał, że to wystarczy, bo polska mobilizacja będzie w lesie. Jednak mobilizacja polskiej armii, wbrew temu, co się powszechnie uważa, przebiegała bardzo sprawnie. Armia polska miała plan operacyjny, który pozwalał na zmobilizowanie trzech czwartych wszystkich sił polskich, przy pomocy tzw. mobilizacji kartkowej. Rezerwiści dostawali powołania imiennie przez pocztę. To było o tyle ważne, bo ogłaszanie mobilizacji powszechnej mogło być potraktowane tak jak wypowiedzenie wojny.

Natomiast mobilizacja kartkowa mogła być robiona w każdej chwili i bez żadnego ryzyka politycznego. To była olbrzymia praca, ale dzięki niej mobilizacja rozpoczęła się już w marcu i była przeprowadzana partiami, a od 1 sierpnia przebiegała już na dużą skalę. Oprócz tej wiadomości, Hitler otrzymał jeszcze inne złe wiadomości. Mussolini przysłał telegram, że Włochy na początku pozostaną neutralne, bo są nieprzygotowane do wojny. No i trzecia wiadomość, najgorsza, że 25 sierpnia został

podpisany sojusz polsko-angielski. Była to pierwsza bezwarunkowa gwarancja, której królestwo brytyjskie kiedykolwiek udzieliło.

Tak więc Hitler się zastanawiał, czy w ogóle uderzać. Przez 6 dni obserwował zachodnich aliantów, ale już po 4 dniach zdecydował na uderzenie i wydał nowy rozkaz. Zobaczył, że alianci, zamiast ostro przygotowywać się do wojny, próbują problem rozwiązać politycznie, nawet kosztem ustępstw strony polskiej.

JSG: Czyli po telegramie pana stryj przyjechał do Polski.

JL: Natychmiast wróciliśmy do Warszawy. Stryj zgłosił się do wojska i został z powrotem skierowany do Stanisławowa, bo tam stacjonował jego pułk artylerii konnej. Potem stryj był w Anglii, w tzw. I Korpusie, który się formował w Szkocji. Z tego korpusu została zabrana I Dywizja Pancerna, która poszła walczyć na kontynent, natomiast dwie dywizje piechoty, które były formowane, ale ich tworzenie nie zostało ukończone, nie poszły na front. Te siły zapasowe były najpierw w Szkocji, potem w Anglii. Dołączył do nich II Korpus, który wrócił z Włoch. Przyszedł z nim mój ojciec. Stryj mieszkał w Anglii jeszcze kilka lat. Jak ja przyjechałem w 1957 roku, to już stryja nie było. Wyjechał najpierw do Nowego Jorku, a potem z żoną i córką przenieśli się do Kalifornii. Tak więc po latach, ja tam dojechałem i spędziłem z nimi piękne chwile. Na swoją drugą

ojczyznę wybrałem jednak Kanadę i mieszkam tu do dziś.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” dodatku kulturalnym „Gazety” pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Najistotniejsze jest to, co niewidzialne



Krzysztof M. Bednarski, fot. Krzysztof

O swoich związkach z Teatrem Laboratorium, przełomowej podróży do Afryki, inspiracjach poezją, filmem i wizerunkami Karola Marksa, a także operowaniu pustką i dźwiękami kosmosu opowiada wybitny rzeźbiarz Krzysztof M. Bednarski.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Pańskie prace były niedawno prezentowane we Wrocławiu na trzech wystawach: w Pawilonie Czterech Kopuł, BWA, a także w Galerii Art Main Station by mia ekspozycji "Ubi sunt?". Szczęśliwy zbieg okoliczności dla rzeźbiarza, który mieszka pomiędzy Warszawą a Rzymem?

Krzysztof M. Bednarski: We Wrocławiu wystawiałem wielokrotnie, m. in. w 2010 roku miałem w Muzeum Narodowym dużą wystawę, której kuratorem był Mariusz Hermansdorfer. Są też trwale ślady mojej tu obecności. Zaledwie przed rokiem, w 25. (sic!) rocznicę śmierci Ryszarda Cieślaka, został odsłonięty nagrobek według mojego projektu, z moją rzeźbą (wcześniej był tam tylko drewniany krzyż z tabliczką zrobioną przez Geta-Stankiewicza). Mało kto wie również, że jestem autorem płaskorzeźby w Narodowym Forum Muzyki: portretu architekta Stefana Kuryłowicza, którego, tak jak Ryszarda, dobrze znałem... Kiedy zacząłem przyjeżdżać do Wrocławia w latach 70., było to

wyjątkowe dla kultury miasto, o czym można było się przekonać oglądając wystawę "Dzikie pola. Historia awangardy wrocławskiej", prezentowanej w warszawskiej Zachęcie, gdzie pokazano również moje plakaty z tamtych lat. Do Instytutu Grotowskiego ściągali pielgrzymki młodych ludzi z całego świata, a Dworzec Główny był takim szczególnym miejscem, gdzie można było nocą spotkać Jerzego Grotowskiego i Ludwika Flaszena, dyskutujących przy mocnej herbacie w dworcowej restauracji.

BLC: Był Pan więc we Wrocławiu częstym gościem, szczególnie z powodu Teatru Laboratorium i tworzących go ludzi...

KMB: Tak, stąd pomysł tej wystawy, która ma upamiętniać ludzi uprawiających tak nietrwałą sztukę, jaką jest teatr. Dopiero po latach zdałem sobie sprawę, jaki to miało wpływ na mnie i na moją sztukę. Pierwsze plakaty zrobiłem dla Grotowskiego w 1976 roku, w okresie parateatralnym, można więc powiedzieć, że we Wrocławiu zaczynałem. Grot rozpoczął wówczas nowy okres działalności i chciał to zaznaczyć również w materiałach graficznych. Powierzył ich wykonanie mnie – studentowi drugiego roku rzeźby, można powiedzieć: amatorowi, mimo iż wówczas we Wrocławiu działało wielu wybitnych plakacistów. Dał mi buty na wyrost.



Krzysztof M. Bednarski

BLC: Jednak nie był Pan kimś obcym, uczestnicząc w projektach parateatralnych i przyjażniąc się z członkami zespołu Teatru Laboratorium.

KMB: Rzeczywiście, moimi najbliższymi przyjaciółmi byli Jacek Zmysłowski i Leszek Kolankiewicz, którzy tworzyli nową generację tego zespołu, a Jacek miał być nawet następcą Grota,

ale nie doszło do tego z powodu jego przedwczesnej śmierci.

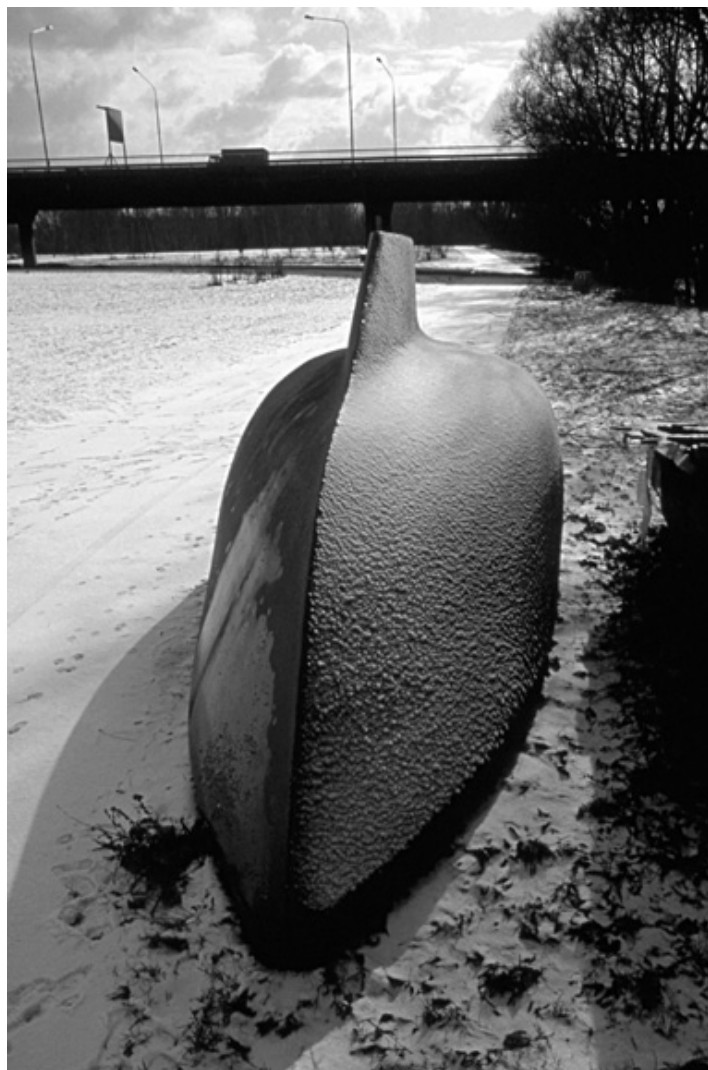
Przy zastrzeżeniu, że po latach człowiek ma skłonność do mitologizowania pewnych przeżyć, uważam jednak, że tamte czasy były wspaniałe. Nie czuło się zniewolenia, ani tego, że funkcjonujemy na jakimś marginesie, bo teatr był miejscem spotkań ludzi otwartych i twórczych. Uczestniczyłem we wszystkich projektach parateatralnych, zobligowany do tego przez Jerzego Grotowskiego, choć nie do końca z tym się utożsamiałem. Nie naśladowałem Mistrza, ale chciałem być blisko niego. W sprawach projektów dawał mi całkowitą wolność. Aby uniezależnić się od ograniczeń biurokratycznych i wydłużonego w tamtych czasach procesu poligraficznego, przywiozłem z Paryża materiały do serigrafii, których nie udało mi się wykorzystać dla Grotowskiego, a to z powodu wprowadzenia stanu wojennego, a w konsekwencji – rozwiązania teatru. Posłużyły za to do druku „Tygodnika Wojennego”.

Moje powroty do Wrocławia świadczą o pewnym domykaniu się czasu. Pozostaje jednak retoryczne pytanie: *Gdzie oni są?*

BLC: Pamięć jest w Pańskiej sztuce bardzo mocno obecna, nie tylko w odniesieniu do tej wystawy. Mnie osobiście bardzo poruszyły Pańskie prace, które widziałam w Pawilonie Czterech Kopuł: „Dom mojego ojca” i „Walizka Schulza”.

KMB: Każda z tych prac ma swoją historię. Walizka pochodzi ze Lwowa, skąd przywieźli ją moi rodzice. Natrafiłem na nią w stanie wojennym i odkryłem w niej zdjęcia dotyczące miejsc stanowiących historię mojej rodziny, których ja już nigdy nie zobaczę, m.in. domu rodzinnego mojego ojca.

W kolekcji MN we Wrocławiu jest też mój "Thanatos polski", praca, którą zrobiłem w 1984 roku i poświęciłem pamięci przyjaciół z Teatru Laboratorium. „Thanatos polski” to był tytuł ostatniego wspólnego przedsięwzięcia zespołu – starszej i młodszej generacji, Jerzego Grotowskiego. Potem, w bardzo krótkim czasie, nastąpił tragiczny okres kolejnych śmierci jego członków.



„Moby Dick” – jacht nad Wisłą.



Rzeźba z cyklu „Moby Dick”, Czwórnia 2014 r., fot. Leszek Fidusiewicz.

BLC: Czy przełomowe dzieło Pańskiej twórczości – „Moby Dick” – ma również takie osobiste konotacje?

KMB: W 1986 roku odbyłem podróż do Afryki, do miejsca szczególnego: do Togo, aby zobaczyć się z synem, którego nie widziałem od paru lat. Ta podróż zmieniła moje podejście do życia i do sztuki. Jak w chasydzkiej opowieści: trzeba odbyć daleką podróż, żeby znaleźć to, czego szukamy, w miejscu naszego zamieszkania. Kiedy wróciłem do Warszawy, zobaczyłem

nad Wisłą łódź przysypaną śniegiem, stąd skojarzenie z białym wielorybem – Moby Dickiem, a zarazem z łodzią Ahaba ze znanej powieści Hermana Melville’a. To swoista hybryda – dwa w jednym, ścigający i ścigany... Dokonując aktu dekonstrukcji tego pięknego kształtu (pociąłem go na 16 części), a następnie rekonstruując go w różnych przestrzeniach galeryjnych, powtórzyłem dokładnie to, co działo się wtedy ze mną. Był to dla mnie czas bardzo trudny. Czas bardzo trudny dla wszystkich, dla całego kraju. Jednocześnie był to czas głębokiej transformacji, tuż po stanie wojennym i nie wiadomo było, gdzie nas to wszystko zaprowadzi.

BLC: Jest Pan nietypowym rzeźbiarzem, bo często sięgającym po inspiracje literackie i filmowe...

KMB: Wielu poetów mnie inspirowało i to od wczesnej młodości. Lista jest bardzo długa, m. in. Dylan Thomas, którego poemat "Vision and Prayer" dał początek dużemu cyklowi reliefów i rzeźb. Ale także T.S. Eliot, R.M. Rilke, Józef Brodzki, Paul Celan, Miron Białoszewski, Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska – im wszystkim poświęciłem moje prace. Jednak szczególne miejsce zajmują: Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki i Adam Zagajewski. Od czasów liceum fascynował mnie Tymoteusz Karpowicz, któremu dedykowałem wystawę w Galerii Awangarda we Wrocławiu. Wszystkich tych poetów cechowała podejrzliwość wobec słowa i jego znaczeń. Podobnie jak oni, pracuję w rzeźbie

- nad jej językiem, próbując, jak Karpowicz, "zamknąć wszystko w jednej księdze". To rodzaj obsesji, z której nie potrafię się wyzwolić.

BLC: Równocześnie jednak, od czasów pracy dyplomowej, eksperymentuje Pan z wizerunkiem Karola Marksa.

KMB: Tak, bo ten wizerunek dotyczy tego, co u poetów - lingwistów manifestowało się nieufnością wobec języka propagandy. W przypadku tego ambiwalentnego portretu-znaku wyrażam swoją podejrzliwość wobec rzeczywistości, w której żyjemy. Karol Marks stał się rodzajem papierka lakmusowego, reagującego na przemiany rzeczywistości i znaczy dziś zupełnie co innego, niż kiedy go po raz pierwszy użyłem (1978). Jest w pewnym sensie pustym znakiem, którym manipuluję i którego znaczenie ewoluuje w czasie. O ile jednak "Portret Marksa" dotyczy rzeczywistości widzialnej, mówiąc w pewnym uproszczeniu, o tyle "Moby Dick" dotyczy tego, co niewidzialne, co umyka naszemu bezpośredniemu poznaniu.



Rzeźby z cyklu „Moby Dick”, Czwórnia 2014 r., fot. Leszek Fidusiewicz.



Rzeźby z cyklu „Moby Dick”, Czwórnia 2014 r., warszawskie studio artysty, fot. Krzysztof M. Bednarski.

BLC: Czym jest dla Pana tworzenie z rzeczy napotkanych,

odnalezionych, wydrążonych przez czas, jak owa łódź, która zainspirowała do "Moby Dicka"?

KMB: Każdy materiał, w którym pracuję, jest sam w sobie środkiem przekazu ważnych treści. Z reguły jednak operuję pustką, negatywem. A zaczęło się od znalezionej skorupy łodzi, która była pustym miejscem do wypełnienia. Podobnie jest po utracie kogoś bliskiego, kiedy jeszcze silniej odczuwamy jego brak, a przez to jest on bardziej obecny w naszym życiu.

Prosty gest destrukcji pięknego kształtu, a następnie jakiś wariacki upór w odbudowywaniu tego, co się wcześniej zniszczyło, stanowiło istotę tej pracy. "Moby Dick" nie istnieje jako obiekt autonomiczny, każdorazowo wchodzi w relacje z przestrzenią, tworzy z nią integralną całość. Ponadto użyłem w tej pracy dźwięków planet i gwiazd, zarejestrowanych przez sondy NASA, a przywodzących na myśl "Odyseję kosmiczną" Stanley`a Kubricka. Na wystawie w BWA jest wiele tropów filmowych, m.in. nawiązanie do "Melancholii" Larsa von Triera czy "Smugi cienia" J. Conrada/Wajdy...

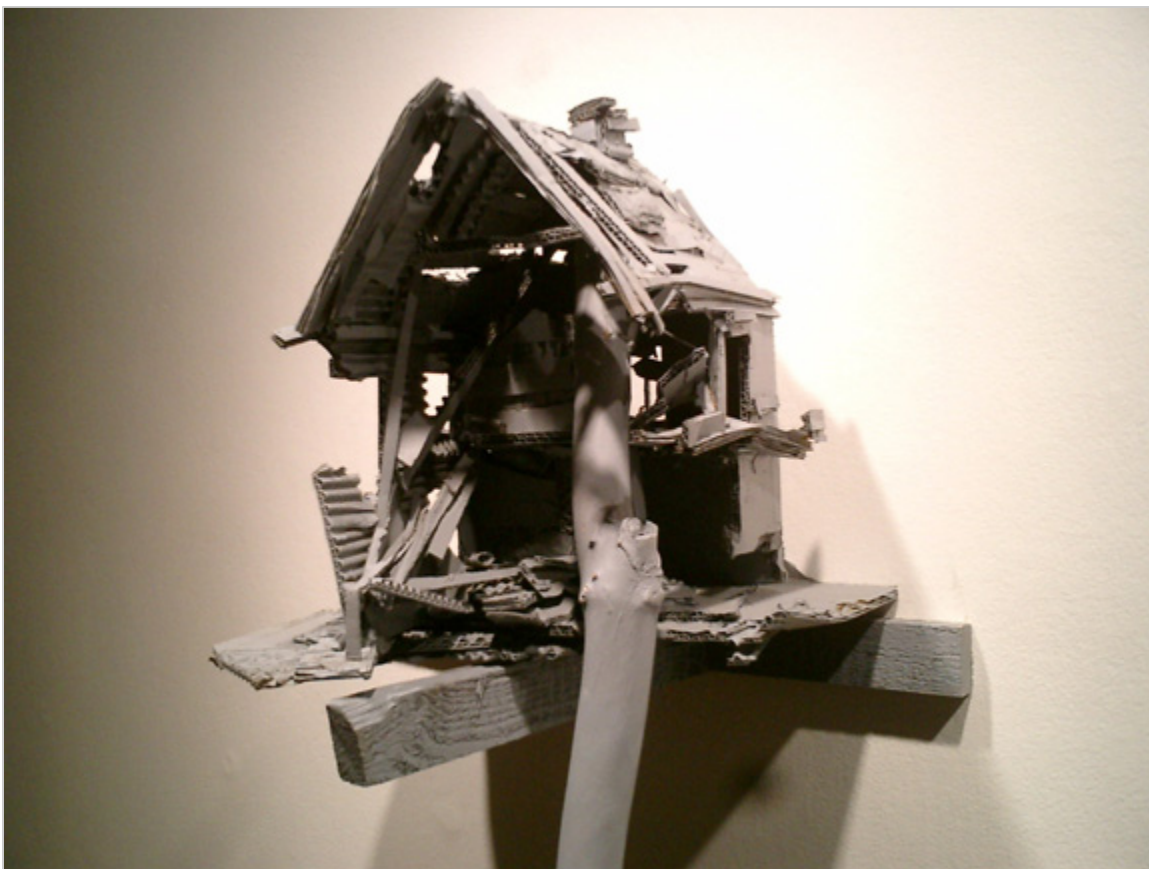
Używam bardzo zróżnicowanych środków formalnych i technik do realizacji moich prac, co szczególnie widać na wystawie w galerii Awangarda. Natomiast wystawa w Galerii Main Station by mia jest zdecydowanie bardziej jednorodna. Pokazuję tu duży wybór rzeźb, w różnej skali, z cyklu "Moby Dick". Można na niej

prześledzić proces mojej pracy: najpierw są zwarte "Maski", potem "Sekcje", a wreszcie „Powierzchnie całkowite”, będące otwarciem Moby Dicka w przestrzeni. Wszystkie rzeźby są odlewami z brązu lub aluminium, a ich podstawy – z żeliwa, marmuru lub drewna. Jak wspominałem, użycie konkretnego materiału jest nieprzypadkowe. Jest tu np. rzeźba, do której podstawę zrobiłem z fragmentu drzewa, na które wspinałem się w dzieciństwie, a które przed kilku laty zostało ścięte. Fakt, że część mojej rzeźby stanowi drzewo, które znam z dzieciństwa, jest dla mnie istotnie emocjonalnie.

BLC: Myślę, że dla widza owa "prawda materiału" jest także ważna, o czym mogłam się przekonać zatrzymując się nad Pańskim "Domem mojego ojca".

KMB: Emocje zawarte w moich pracach nie mają w sobie nic z ilustracyjności, lecz są głęboko przetransformowane. Podobnie jest w odniesieniu do inspiracji literackich. Moim językiem jest język materii i przestrzeni – to jest mój żywioł.

W sztuce najistotniejsze jest to, czego nie da się zwerbalizować, a czego szukał przez lata ze swoim zespołem Grotowski. Rilke określał to słowem "Niewidzialne" – "Unsichtbar".



Krzysztof M. Bednarski, Dom mojego ojca.

<http://kulturaonline.pl/>

Z małego miasteczka w wielki świat

**Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską Boehm o
wspomnieniach Normana Boehma**



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z
mężem Normanem Boehmem,
fot. arch. AZB.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Na początku 2017 roku w

amerykańskim wydawnictwie Hamilton Books wyszły wspomnienia Pani męża Normana Boehma *From a Small Town to the Big World* (Z małego miasteczka w wielki świat). Nie każdy pisze wspomnienia, skąd u Normana taka potrzeba zapisywania obserwacji i wydarzeń ze swojego życia?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: Trochę było w tym mojej perswazji i pasji do pisania. Od lat mówiłam, że powinien napisać wspomnienia. Norman napisał we wstępie, że „Aleksandra go wciąż zachęcała”. Uważam, że każdy z nas ma swoją opowieść i może ją napisać opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest osobne zagadnienie.

JS-G: Czy Norman Boehm prowadził regularny dziennik?

AZ-B: Nie prowadził dziennika. Zaczął pisać kilka lat temu, gdy byłam ponad rok na stypendium Fulbrighta. Na te stypendia jest zapraszana rodzina, Norman był ze mną. Kupiliśmy drugiego laptopa i zaczął pisać o swoim dzieciństwie, młodości, szkole, studiach, pracy za granicą. Pokazywał mi, zachęcałam, by rozwinął niektóre wątki, i tak się książka powolutku pisała.

JS-G: Jaki był dom rodzinny Normana Boehma?

AZ-B: Norman był jedynakiem, miał szwedzko-niemieckie korzenie. Jego babcia (Blenda Bergman), przyjechała ze Szwecji, poznała emigranta z Niemiec (Carl Adalberta Boehm), i pobrali się. Ich jedyny syn, Normana ojciec, urodził się w Chicago. Rodzina przeniosła się na Wschodnie Wybrzeże i w niedużym miasteczku w stanie New Jersey urodził się Norman.

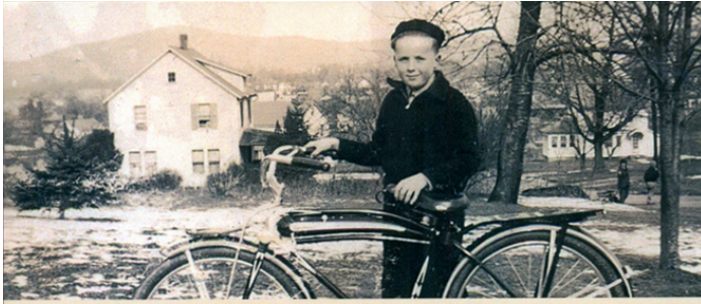
JS-G: Napisała Pani piękną książkę o słynnej ciotce Normana Boehma, aktorce Ingrid Bergman. Czy w swoich wspomnieniach Norman poświęca jej dużo miejsca?

AZ-B: Norman oczywiście przywołuje spotkania ze swoją kuzynką Ingrid (w Polsce nazywano by ją ciocią). Ojciec Ingrid (Justus) i babcia Normana (Blenda) byli rodzeństwem.

W mojej książce *Ingrid Bergman prywatnie* (amerykańskie wydanie ukazało się pod tytułem *Ingrid Bergman and her American Relatives*) cytuję listy Ingrid do jego babci Blendy (ulubionej cioci Ingrid), do jego ojca, i także do Normana. Przywołuję jej wypowiedzi na temat Szwecji, Włoch, Ameryki. Piszę o jej małżeństwach, przede wszystkim, jak wielką pasją było dla niej aktorstwo. Książkę oparłam na rozmowach z Normanem, przeczytałam opublikowane książki na temat wielkiej aktorki, między innymi jej autobiografię (napisaną z Alanem Burgess) *My Story*.

JS-G: Co spowodowało, że Norman Boehm zdecydował się na dalszą naukę z daleka od domu?

AZ-B: Jego ojciec uważał, że syn powinien wyjechać z małego miasteczka, poznać inne rejony wielkiej Ameryki. Po skończeniu szkoły średniej Norman wybrał studia na Uniwersytecie w Północnej Dakocie. Jechał trzy dni autobusem. Wiele osób okazało mu serdeczność, co zapamiętał na całe życie. Tęsknił za domem, ale – jak pisze – po pierwszej wizycie na święta, cieszył się, że wracał na uczelnię, gdzie miał kolegów, gdzie należał do honorowego studenckiego stowarzyszenia – fraternity: *Alpha Tau Omega (ATO)*.



NORMAN BOEHM

FROM A SMALL TOWN TO THE BIG WORLD

Foreword by Aleksandra Ziolkowska-Boehm



HAMILTON BOOKS

"Norman Boehm's story is a wonderful travelogue that sparkles with insights about a rich life, fully lived, richly detailed, and evocative. This is true whether he is playing the piano (or baseball), meeting with his cousin Ingrid Bergman on the set of *Anastasia*, with Yul Brynner, or punching out a school bully who had insulted his partial German heritage during World War II. He ranges from Saudi Arabia to Poland and Norway, and across the United States. This is a rewarding and engaging reading experience."

—BRUCE E. JOHANSEN, Frederick Kayser University Research Professor,
Communication and Native American Studies, University of Nebraska at Omaha

"Norman Boehm had an ancestry and upbringing that fully predicted his great talents, achievements, and graces. His book of memoirs provides exceptional breadth and depth regarding the key events which shaped his personal life's journey and the lives of many others. Coincidentally, an excellent summary of my U.S. Air Force career, from young lieutenant to a general in the United States military was written by Norman's wife Aleksandra in her superb book, *The Roots Are Polish*. That book brought me closer to the Polish community in the United States and in Poland; but more importantly, it allowed me to meet, enjoy, and learn from Norman Boehm—one of my greatest pleasures. Norman and I spent many an hour talking about flying. While Norman's personal aircraft was small and light, he was a superb pilot and we spent much time together discussing the techniques and joys of flying."

—DONALD J. KUTYNA, 4-Star General, U.S. Air Force, Commander-in-Chief,
North American Aerospace Defense Command, Commander-in-Chief,
United States Space Command, Commander, Air Force Space Command (ret.)

This is a story of a young lad who chose college far away from his small home town of Washington, NJ. He worked in the oil industry for sixteen years in Saudi Arabia, four years in London, England, and three years in Stavanger, Norway. Twenty-three years of exposure to the world's diverse cultures and peoples gave him an unwavering respect and admiration for all citizens of the world.

This book is a recollection of the events, thoughts, and experiences of Boehm's transformative travels abroad. It contains stories of classical piano lessons, learning to fly a small single engine aircraft, and meeting with his distant relative, the world famous movie actress Ingrid Bergman. This memoir honors the remarkable life of a man full of adventure and travel all over the world.

NORMAN BOEHM grew up in Washington, NJ, and studied at University of North Dakota following two years in the V-5 U.S. Naval Training Program. His top professional achievement was contract managing the construction of the North Sea oil rig installations of North Cormorant.



HAMILTON BOOKS
800-462-6420
WWW.HAMILTONBOOKS.COM



JS-G: Norman Boehm, po ukończeniu chemii i kolejnych kursów prawniczych, spędził 23 lata poza Stanami Zjednoczonymi – 16 lat w Arabii Saudyjskiej, 4 lata w Londynie i 3 lata w Stavanger w Norwegii zarządzając budową szybów wiertniczych. Na czym polegała jego praca?

AZ-B: Był specjalistą od układania kontraktów, które dotyczyły między innymi właśnie budowy szybów wiertniczych na oceanie. W Londynie nadzorował projekt *North Cormorant*, który w historii firmy Exxon jest uważany za „the most successful”,

ukończono go wcześniej niż przewidywano, zmniejszono przewidywany budżet, i nie było żadnych „niespodzianek”.

JS-G: Czy mieszkanie w krajach o różnych kulturach miało wpływ na poglądy Normana?

AZ-B: Ogromny. Pracowali z nim Arabowie, Palestyńczycy, Norwegowie, Anglicy. Cenił różne kultury i różnych ludzi. Zgromadzony przez niego szacunek dla „innych” został mu na całe życie.

JS-G: Norman Boehm miał też pasje – gra na fortepianie i lotnictwo. Jak je realizował?

AZ-B: Był pilotem w amerykańskim NAVY, a po latach miał swój nieduży samolot (*aeronca chief*). Bardzo kochał latanie. O tym m.in. rozmawiał z Donaldem Kutyną, amerykańskim 4-gwiazdkowym generałem, przez wiele lat szefem Air Force, który ma ogromne osiągnięcia. Napisałam o nim w książce *The Roots Are Polish*, ma bowiem polskie pochodzenie.

Jako chłopiec Norman przez osiem lat uczył się gry na fortepianie. Uwielbiał muzykę Chopina (grywał np. „Walc minutowy”), Beethovena, Schuberta, Czajkowskiego. Grywał także popularne melodie, jak “Begin the Beguine”, “Adios”, “Granada”, “My Shawl”... Do końca życia prawie każdego dnia

grał na pianinie. Cały dom rozbrzmiewał muzyką... bardzo mi tego także brakuje...



Aleksandra Zikowska-Boehm z mężem, podczas spotkania absolwentów szkoły średniej Normana, 1991 r., fot. arch. AZB.

JS-G: Proszę opowiedzieć, jak się Państwo poznali.

AZ-B: Poznaliśmy się w Stanach, byłam wówczas na stypendium. Wymieniliśmy adresy i zaczęła się korespondencja. Telefonował

co tydzień, kilka razy przyleciał do Warszawy. Niecały rok później w 1990 roku pobraliśmy się. Jest o tym rozdział w książce Barbary Henkel *Bezpieczne związki* (Wydawnictwo Nowy Świat, 2003).

JS-G: Czy zdecydowała się Pani na budowanie swojego życia w Stanach Zjednoczonych, właśnie ze względu na Normana?

AZ-B: Tak właśnie było – wyszłam za mąż i zamieszkałam z mężem w jego kraju, ale cały czas utrzymywałam i utrzymuję stały kontakt ze swoim. Zwykle dwa w razy do roku bywam w Polsce, ukazują się moje książki, mam ukochaną rodzinę i czytelników. Czeka też na mnie moje nieduże warszawskie mieszkanie, które bardzo lubię.

JS-G: Jak pamiętam, Norman Boehm uczestniczył w Pani pracy, był zainteresowany polską historią, kulturą i reagował, gdy Polska, czy Polacy byli niesprawiedliwie oskarżani.

AZ-B: Reagował pięknie. Zabierał głos, gdy ukazywały się krzywdzące Polskę artykuły. Pisywał listy do redakcji pism, w których pojawiały się różne pomówienia. Włączył się także w akcję przekonywania amerykańskich senatorów do przyjęcia Polski do NATO. (Po śmierci Normana pięknie napisała o tym Anna Bernat dla PAP-u). W książce Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006, red. Dobrosława Platt,

wstęp Jerzy Koźminski), są zamieszczone jego listy do senatora Joe Bidena (późniejszego wiceprezydenta), do senatora Kay Bailey Hutchinson. Norman stał się niemal „polskim patriotą”. Bardzo mnie to ujmowało i było ważnym aspektem w naszym wspólnym życiu.

JS-G: Dzięki Pani pasji i pracy życie Normana stało się bogatsze o inną kulturę, którą pokochał jak swoją. Przyjeżdżał z Panią do Polski i Polskę poznał.

AZ-B: Bardzo lubił i cenił Polaków, uważał nasz naród za serdeczny, patriotyczny. O naszej historii dużo się ode mnie dowiadywał, bardzo miał piękne podejście do Polski. Żartuję czasami mówiąc, że nie znał polskiego, a ja nie tłumaczyłam mu różnych „polskich sporów”. Gdy pracował, przylatywał do Polski na krótko, zwykle dwa razy w roku. Gdy przeszedł na emeryturę – lecieliśmy oboje na siedem – osiem tygodni do Polski. Bywał na moich spotkaniach autorskich, lubił moją rodzinę, przyjaciół. Doskonale się w Polsce czuł. Wygłosił wykład na Politechnice Łódzkiej na temat etyki zawierania kontraktów. Jeździliśmy w różne miejsca, pokochał Zakopane. Z zabawnych anegdot opowiem jedną. W Zakopanem byliśmy na Gubałówce z Michałem Radgowskim, felietonistą „Polityki”. Norman patrzył na panoramę gór pełen zachwytu. – Powiedz mu, że to są góry słowackie – powiedział Michał. – A po co?... Niech podziwia i myśli, że polskie – odpowiedziałam. Radgowski tak był

zaskoczony, że napisał o tym w felietonie.



Norman Boehm i Michał Radgowski w Zakopanem, fot. arch.
AZB,

Gdy lecieliśmy oboje, towarzyszyła nam nasza kotka Suzy, a potem też drugi kot. Koty także dobrze się czuły w Warszawie (napisałam książkę *Podróże z moją kotką*, która miała też amerykańskie wydanie *On the Road with Suzy from Cat to Companion*). Z naszą Suzy odwiedzaliśmy np indiańskie rezerwaty.

JS-G: Wspomnienia Normana Boehma zostały opatrzone ciepłymi refleksjami jego przyjaciół, m.in. przywoływanego wcześniej generała polskiego pochodzenia, dowódcy Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej, Donalda J. Kutyny, czy Bruce'a E. Johansena, profesora na University of Nebraska. Pamiętam, że Norman miał też dobre relacje z Joe Bidenem, senatorem z Delaware, wiceprezydentem w rządzie Baracka Obamy. Czy dużo miejsca we wspomnieniach zajmują bliscy mu ludzie i przyjaźń?

AZ-B: Norman pisze o kolegach ze szkoły podstawowej, średniej, studiów, pracy, rodzinie. Napisał, jak zachwycił się Europą, po pierwszej pierwszej podróży na ten kontynent, jak inaczej przedstawiano ją w Stanach.

Napisałam do jego książki wstęp – między innymi jakim był człowiekiem prywatnie. Zacytowałam jego – naszych przyjaciół, m. in. znanego Indianina z Montany. Oboje z Normanem jeździliśmy do obu Dakot, Montany, wspieraliśmy szkoły indiańskie (St Labre, St Joseph i Red Cloud Indian School), Crazy Horse Memorial w Południowej Dakocie (gdzie przed laty mój stryj Korczak Ziolkowski zaczął rzeźbić w skałach wodza Crazy Horse). Norman jest obecny w mojej książce indiańskiej *Otwarta rana Ameryki* (amerykańskie wydanie *Open Wounds A Native American Heritage*).



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem Boehmem,
fot. arch. AZB.

JS-G: Norman odszedł w maju 2016 roku. Czy przygotowywanie wspomnień do druku było dla Pani terapią?

AZ-B: Tak, praca nad wspomnieniami była swoistą terapią i swoistym ukojeniem. Żałuję, że Norman nie doczekał decyzji amerykańskiego wydawcy, że książki już nie zobaczył.

JS-G: Czym dla Pani było dwadzieścia sześć lat życia z mężem Normanem?

AZ-B: Gdy się spotkaliśmy obydwójce byliśmy dojrzałymi ludźmi, umieliśmy docenić każdy wspólny dzień. Myślę, że w młodości często jesteśmy zapalczywi, niecierpliwi, wymagający. Oczekujemy więcej niż sami jesteśmy gotowi dać. Na wszystko trzeba dojrzałości. Z pokorą mogę powiedzieć, że nasze małżeństwo to był dar od Pana Boga.

Normana Boehma wspominają Bruce E. Johansen i Donald J. Kutyna. Głosy wydrukowane na tylnej stronie okładki:

Norman Boehm's story is a wonderful travelogue that sparkles with insights about a rich life, fully lived, richly detailed and evocative. This is true whether he is playing the piano (or baseball), meeting with his cousin Ingrid Bergman on the set of Anastasia, with Yul Brynner, or punching out a school bully who had insulted his partial German heritage during World War II. He ranges from Saudi Arabia to Poland and Norway, and across the United States. This is a rewarding and engaging reading experience.

BRUCE E. JOHANSEN, Frederick Kayser University Research

Professor, Communication and Native American Studies,
University of Nebraska at Omaha.

Norman Boehm had an ancestry and upbringing that fully predicted his great talents, achievements, and graces. His book of memoirs provides exceptional breadth and depth regarding the key events which shaped his personal life's journey and the lives of many others. Coincidentally, an excellent summary of my U.S. Air Force career, from young lieutenant to a general in the United States military was written by Norman's wife Aleksandra in her superb book, „The Roots Are Polish“. That book brought me closer to the Polish community in the United States and in Poland; but more importantly, it allowed me to meet enjoy, and learn from Norman Boehm — one of my greatest pleasures. Norman and I spent many an hour talking about flying. While Norman's personal aircraft was small and light, he was a superb pilot and we spent much time together discussing the techniques and joys of flying.

DONALD J. KUTYNA, 4-Star General, U.S. Air Force, Commander-in-Chief, North American Aerospace Defense Command, Commander-in-Chief, United States Space Command, Commander, Air Force Space Command (ret.)

Over the years i had the pleasure of conversing with Norman on a variety of topics we both found interesting, and even some that I didn't know I had an interest in until Norm brought them to life. Norm had this impressive ability to stitch together many separate and distinct conversations from the one at hand, and tie them all back together to form the fabric for another opportunity to better understand the world we live and navigate in. Norm was worldly, well-traveled, and deeply informed in a number of subject areas. Yet in all his wisdom and knowledge, he was above all else, kind, caring, non-judgmental and an appreciative soul, of the world, its inhabitants, and the cultures they express. In particular his keen interest in Native American cultures of the Northern Plains Tribes was filled with compassion, admiration, and respect for our people and our dedication to maintaining our cultural values in this fast changing world.

RODNEY TRAHAN, Member of the Northern Cheyenne Tribe,
Board Member for Partnership with Native Americans.



Filadelfia 2000 r. Od lewej: Barbara Wachowicz, Norman Boehm i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. arch. AZB.

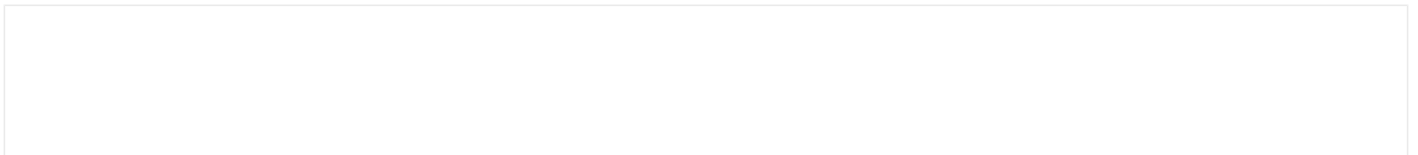
Wydawnictwo:

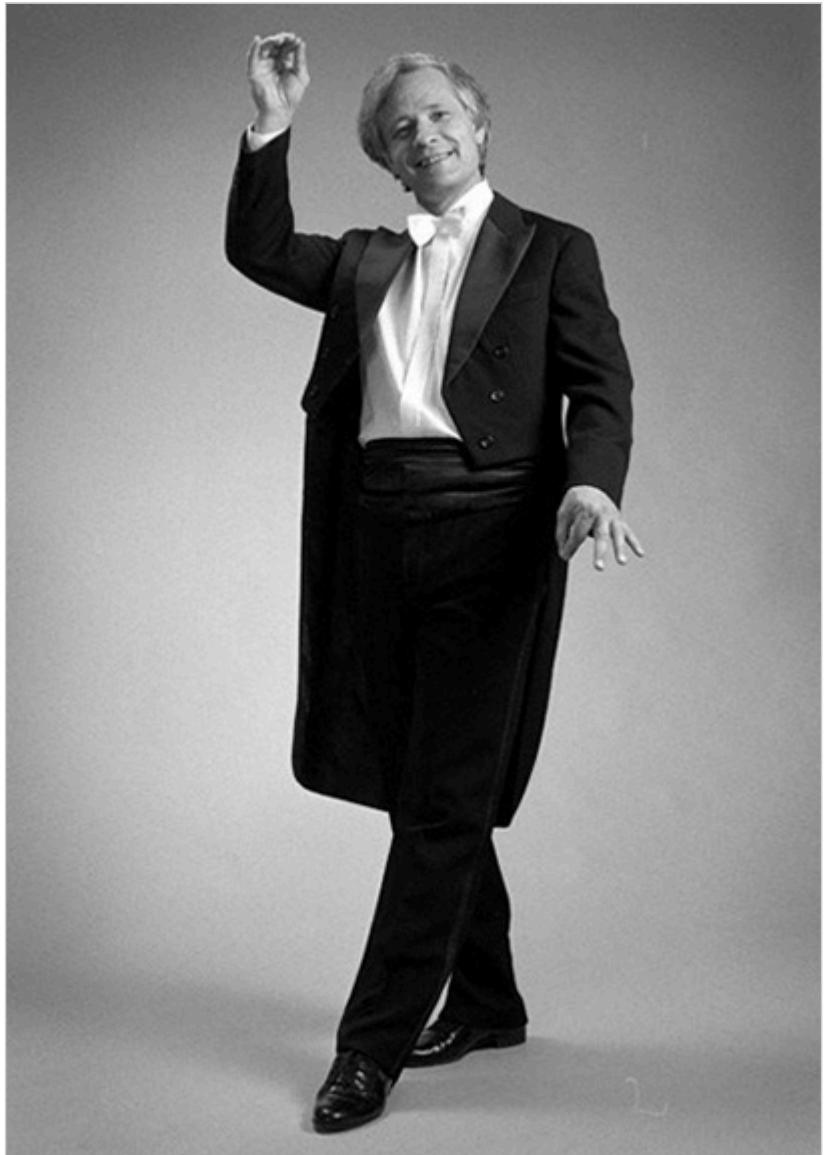
<https://rowman.com/ISBN/9780761868767/From-a-Small-Town-to-the-Big-World>

Rytm serca i jasność umysłu

Niedziela, 19 marca 2017 r., godzina 7 pm, Roswell Cultural Art and Center w Atlancie, koncert Marka Drewnowskiego, organizowany przez Chopin Society of Atlanta.

Niedziela, 26 marca 2017 r., godzina 4 pm, La Gorce Country Club, 5685 Alton Rd, Miami Beach, FL, koncert Marka Drewnowskiego.





Marek Drewnowski

Z pianistą i dyrygentem Markiem Drewnowskim, przed koncertem w Atlancie, rozmawia Bożena U. Zaremba.

Bożena U. Zaremba: Poprzedniego wywiadu udzieliłeś mi dziesięć lat temu. Co się zdarzyło od tego czasu w Twoim życiu?

Marek Drewnowski: Minęło dziesięć lat, tak szybko czas leci. Kiedy zadałaś mi to pytanie poczułem się nieswojo, bo przypomniałaś mi o upływie czasu. Dziesięć lat to dużo... Zacząłem robić rachunek sumienia...

Nie mogę powiedzieć, że wszystko przez te dziesięć lat było po mojej myśli, ale bardzo dużo pracowałem, koncertowałem, nagrywałem płyty, pisałem scenariusz o Paderewskim, uczyłem, byłem promotorem doktoratów, otrzymałem od Prezydenta RP tytuł Profesora, uczyłem w Paryżu w Scuola Cantorum, dawałem kursy Master Classes na świecie, nawet w Afryce Południowej i w Korei, a obecnie wyładowałem na Uniwersytecie Hacettepe w Ankarze, na wydziale dyrygentury i kompozycji. W tym czasie wyjątkowo interesującym wydarzeniem była propozycja Harmusica w Genewie nagrania dzieł wszystkich Chopina. Nagrałem połowę projektu, z koncertami i sonatami, wariacjami, etiudami, preludiami, balladami i walcami. Niestety w 2015 roku zmarła pani Gabrielle Dufour, motor tego projektu i musiałem na jakiś czas przerwać nagrania. Obecnie toczą się rozmowy z rektorem Uniwersytetu Hacettepe, aby je kontynuować. Będę w Ankarze do grudnia tego roku i mam nadzieję tutaj skończyć projekt nagrania wszystkich dzieł Chopina. Zobaczymy, czy się uda. To jest droga impreza. Są też inne wyzwania. Obecnie szukam śpiewaczki do nagrania pieśni Chopina. Nie jest to łatwe, bo większość śpiewaków klasycznie szkolonych śpiewa z ogromną manierą operową. Mają wielkie głosy, z dużym vibrato.

Tego pieśni Chopina nie trawia. One są proste. Prostota jest najpiękniejsza, ale też najtrudniejsza do zaśpiewania. Tutaj potrzeba kogoś muzycznego, ale z prostym, bezpretensjonalnym głosem, może nawet ludowym zaśpiewem.

BUZ: Dziesięć lat temu dużo mówiliśmy o emocjach. Czy coś zmieniło się w Twoim podejściu do sztuki pianistycznej?

MD: Dla mnie muzyka bez emocji nie jest muzyką. Muzyką można więcej przekazać nastroju, myśli, czy uczuć niż czystą poezją. Naturalnie, o ile muzyk ma wrażliwość i silną osobowość. Poezja, za którą przepadam, ma materię słowa, której muzyka nie ma. Muzyka jest otoczona duchem, a nie materią.

BUZ: Jaką osobowość miał Chopin?

MD: Skomplikowaną. Z jednej strony był męski, z drugiej dziecinny, kobiecy, kapryśny, uczuciowy, dowcipny, ponury, bohaterski, załamany, przygnębiony, błaznowaty, radosny, złośliwy, miły, kokieterjny, obrażony, urażony, wielkoduszny, a zarazem zawzięty.

BUZ: Czy pianista powinien zrozumieć osobowość kompozytora, żeby dobrze zagrać jego utwory?

MD: Oczywiście, to jest klucz. Tak jak w małżeństwie, jak nie

rozumiesz charakteru małżonka, czy małżonki nie jesteś w stanie współżyć. Dobry muzyk to coś w rodzaju medium – ulega muzyce kompozytora, dopasowuje się, a nawet się z nią utożsamia. Ale takich muzyków jest coraz mniej. Nastaly inne czasy, muzyka [poważna] interesuje tylko wybraną elitę. A wrażliwość odbiorców, czyli słuchaczy też się zmieniła, powiedziałbym, że się „unowocześniła”, w tym pejoratywnym sensie.

BUZ: Chopin jednak dalej jest popularny, zwłaszcza w Polsce. Zajmuje w końcu szczególne miejsce w polskiej historii i kulturze.

MD: Oczywiście. Jego muzyka fenomenalnie odzwierciedla nasze uczucia patriotyczne i więzi narodowe. Przekazuje też wielkie bogactwo uczuć i nastrojów, jakie tkwią w naszym narodzie. Oscyluje od złości do miłości, od smutku do radości, żaru kochania do nienawiści, dzielności czynu do lekkomyślności, porywów szczęścia i zapaści ducha. Znane są nam rycerskie, bohaterskie wzloty i nieoczekiwane, bolesne upadki. W ten charakter Polaków Chopin wtopił się ze swoją muzyką wręcz idealnie. Tylko on potrafił oddać burzliwą falę naszych narodowych uczuć. W wielu trudnych momentach naszej historii działał ku pokrzepieniu serc i dzięki muzyce określał jedność Polaków. Jednocześnie ta muzyka jest uniwersalna, kosmiczna. Prawie wszystkie narody świata mogą się w naszym słowiańskim lustrze przeglądać i odnajdywać podobne cechy.

BUZ: Jednak niewielu pianistów gra Chopina porywająco.

MD: Bo teraz szuka się ludzi, którzy się nie pomylą, nie zagrają obcego dźwięku i są perfekcyjni. Mam wrażenie, że pomimo tego, iż utwory Chopina są grane we wszystkich zakątkach ziemi, jedynie nieliczni muzycy dostąpili zaszczytu jej zrozumienia. Wydaje mi się też, że dawniej pianiści grali Chopina lepiej. Taki Hoffman, Paderewski, czy później Rubinstein. U nich była pewna prostota. Następna istotna sprawa to, żeby dobrze grać muzykę Chopina trzeba zwrócić uwagę na tekst. Chopin niezwykle drobiazgowo pisał partytury. Każda kropka, każda pauza i każdy łuk były precyzyjnie zaznaczone. Forma była zawsze czytelna i jasna.



Marek Drewnowski, fot. www.drewnowski.pl

BUZ: Chopin uznawany jest za wielkiego nowatora muzyki. Jaki jest jego największy wkład w rozwój muzyki?

MD: Chopin walczył z tradycją klasyczną i z kreską taktową, którą usiłował złamać. Innymi słowy, Chopin zaczyna budować myśl muzyczną, czyli frazę, najczęściej w drugiej ćwierci taktu, aby ominąć kreskę taktową, w czym zdecydowanie wyprzedzał swoją epokę. Niezwykle jasno widać to w mazurkach, czy w finale drugiej Sonaty. Jego utwory są poza tym na bardzo wysokim poziomie technicznym. Chopin mógł konkurować pod

tym względem z samym Lisztem. Jego forma jest inna. Jego harmonia jest inna. Weźmy na przykład I Koncert [fortepianowy] e-moll – w pierwszej części kończy się dominantą. Gdzie tak było wcześniej? Wymyślił etiudy, mazurki, nokturny. Jego utwory wychodzą poza przeciętne rozumowanie tamtej epoki. Według mnie jednak najważniejszą cechą u Chopina są te rozbudowane emocje, które nie powtarzają się z taką częstotliwością u innych kompozytorów. W każdym ważniejszym jego utworze są dwie warstwy – intelektualno-formalna i druga równoległa, emocjonalna. Trudno zagrać jakikolwiek nokturn bez emocji. Można zagrać nuty, ale to nie będzie Chopin. Potrzebne jest przeżycie. Poza tym grając jego utwory trzeba improwizować, za każdym razem grać inaczej. Potrzebna także jest jakaś koncepcja. Na przykład druga część I Koncertu fortepianowego e-moll, to według mnie wyraźny duet między mężczyzną a kobietą. Mężczyzna o coś prosi, a kobieta odpowiada. To są bardzo delikatne rzeczy. Mógłbym jeszcze długo mówić o innowacyjności Chopina i wymieniać jego niezwykle pomysły, czy podkreślać jego wpływ na współczesnych jemu muzyków i późniejszych jego naśladowców, ale to temat na dłuższe rozważania muzykologiczne.

BUZ: Rzadko, który młody pianista wchodzi w dzisiejszych czasach tak głęboko w naturę muzyki.

MD: No, bo wszyscy gonią za przyjemnościami, za pieniędzmi.

Nikt nie chce drobiazgowej analizy dzieła. Szuka się gotowych rozwiązań. Nikt nie dba o to, żeby znaleźć jakąś prawdę. Wynika to przede wszystkim z tego, że niestety edukacja muzyczna upada. Jeszcze rodziny muzyczne potrafią wykształcić muzyków, ale szkoły nie uczą muzyki, nie kształtuje się też publiczności. Jesteśmy na początku nowej epoki, w której kultura jest wywrócona do góry nogami. Tu jest potrzebna praca od podstaw. Krytyka muzyczna też zamiera, nie ma muzykologii ani na średnim ani na wysokim poziomie. Dam taki przykład z mojego „podwórka”. Mój syn, Michał, który uczy teraz w Akademii Muzycznej w Łodzi i jest doskonałym pianistą, (megalomańsko dodam, że był moim studentem), odnalazł rewelacyjnego i zupełnie nieznanego kompozytora Tadeusza Majerskiego. Majerski nie chciał po wojnie wyjechać ze Lwowa i mieszkał tam do końca życia. Ta decyzja kosztowała go zapomnienie. Michał nagrał płytę z koncertem fortepianowym Majerskiego z Royal Scottish National Orchestra pod dyрекcją Emila Tabakova i kwintetu z New Art Chamber Soloists* (jestem z tej świetnej płyty i z Michała bardzo dumny) i proszę sobie wyobrazić, że do dzisiaj nie ukazała się w Polsce ani jedna recenzja. Ukazała się natomiast w Anglii, ale z błędami. Niestety przypisano mnie tę płytę i dodano reklamy moich starych nagrań. Młodym artystom naprawdę trudno się dzisiaj przebić.

BUZ: Dlatego też potrzebne są konkursy, bo wtedy łatwiej zaistnieć. Podobno nie jesteś ich zwolennikiem.

MD: Ale absolutnie nie podważam celowości ich istnienia. Konkursy są często jedyną drogą do zostania zawodowym muzykiem. Zawsze zwracam jedynie uwagę na ich ograniczenia, bo jak tu odnaleźć właściwy nastrój w rywalizacji konkursowej i w trudnym do opanowania stresie? Do tego dochodzi jeszcze obecność „wszechmogącego” jury, które nakłada na muzyka dodatkowy stres. Żeby wygrywać konkursy, potrzebna jest siła psychiczna uczestnika, odporność fizyczna, nie tylko doskonałe przygotowanie. Niekoniecznie pomocą jest wtedy wrażliwość i zrozumienie delikatności chopinowskich uczuć.

BUZ: Dlaczego muzyka jest taka istotna w naszym życiu?

MD: Wszyscy mamy wielką potrzebę piękna w najczystszej jego postaci, a muzyką możemy przekazać to, czego nie umiemy przekazać gestami, słowami, lub mimiką. Muzyka to jest język. Język myśli i uczuć. To przekaz intelektualny, czyli forma, i emocjonalny. Przekazujemy nasze myśli, uczucia, tęsknoty, radości, smutki, zdziwienie, złość, zachwyt i rozpacz. I jest to przekaz bezpośredni i natychmiastowy. Nie istnieje w niej bariera słów, wyrazów, czyli materii. Muzyka jest niematerialna, tak jak nasze uczucia i myśli.

BUZ: Co szczególnego jest w Chopinie?

MD: Znamy wielu genialnych kompozytorów, którzy nam

przekazują harmonię, piękne narracje i piękne melodie, niezwykle kunsztowne frazy, matematyczne fugi, które budzą nasz podziw i poczucie harmonii i estetyki. Ale nikt tak nie przemawia do słuchacza jak nasz Fryderyk

Chopin. Jego emocje są bliskie każdemu słuchaczowi. Budzą one w nim wszelkie, niedostępne, na co dzień, zamknięte w sercu myśli i uczucia. Prowokują do refleksji. To, co jest najpiękniejsze w muzyce Chopina to naturalność, szczerść i traktowanie frazy i melodii jak śpiew, w którym Chopin się zanurza. Jego muzyka przemawia do nas w sposób bardzo silny i dlatego przy jego muzyce potrafimy uśmiechać się, płakać, wzruszać się, odczuwać dobroć, piękno, czuć bohaterstwo, tęsknotę oraz tańczyć i śpiewać. Muzyka Chopina ma rytm serca i jasność umysłu.

*Wydana przez Toccata Classics, styczeń 2017.

Atlanta - program i bilety: www.chopinatlanta.org

Miami - program i bilety: www.chopin.org

Wymagana rezerwacja: 305.868.0624 lub info@chopin.org

Wywiad z 2006 r. w języku angielskim na stronie Chopin Society of Atlanta:
<http://chopinatlanta.org/interviews/MarekDrewnowski2006.html>

Wywiad z 2017 r. w języku angielskim na stronie Chopin Society of Atlanta: <http://www.chopinatlanta.org/interviews/-MarekDrewnowski2017.html>

Życie piosenką ustlane

Rozmowa z Jasią Jasińską - artystką lwowską, która przeszła szlak bojowy z 2 Korpusem Polskim gen. Wł. Andersa, po wojnie artystką teatru Hemara w Londynie.

*Jasia Jasińska, w kawiarni i na estradzie, ten sam głos, ten sam
wdzięk ta sama Jasia.*

(fragment zapowiedzi recitalu)



Jasia Jasińska, fot. arch. artystki.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *Skończyła pani przed wojną szkołę muzyczną we Lwowie. Kto panią uczył?*

Jasia Jasińska: Uczyłam się w prywatnej szkole Malwiny Reiss. Zapamiętałam ją jako okropną dziwaczkę, bo jeszcze w latach 1938-39, sztywno nosiła staromodne wówczas suknie z długim trenem. W szkole miałam wspaniałego profesora, Włocha (nie pamiętam jak się nazywał). Grubas, źle mówił po polsku, ale wiedział jak ustawić mój głos. Był na prawdę nadzwyczajny.

Bardzo też chciał mnie uczyć i zwabić do Konserwatorium wspaniały człowiek, Adam Sołtys – wielki dyrektor Konserwatorium we Lwowie, ale ja byłam wówczas w tej prywatnej szkole i się nie zgodziłam. A potem wybuchła wojna.

JSG: *Kim pani się bardziej czuje, śpiewaczką czy aktorką?*

JJ: Od urodzenia jestem i tą i tą, tak myślę. Zawsze fascynowała mnie piosenka aktorska, natomiast opera mnie nigdy nie pociągała, wydawała mi się sztuczna. Przed wojną występowałam we Lwowie na różnych scenach, ale nie operowych. Wystąpiłam też w koncercie na dwa fortepiany, ale fortepian nie był moją pierwszą miłością, instrument traktowałam uzupełniająco.

JSG: *Czy w pani rodzinie były tradycje teatralno-muzyczne?*

JJ: Matka miała bardzo piękny głos i sama sobie śpiewała. W tym okresie, nie można się było uczyć śpiewu, to byłby skandal. Grać na fortepianie wypadało, ale nie śpiewać na scenie. Gdy miałam 6 lat matka wysłała mnie do szkoły muzycznej na lekcje fortepianu. W domu był fortepian, ojciec trochę grał. Ale ja ciągle śpiewałam, śpiewałam i nie mogłam przestać. Więc później matka w tajemnicy „szmuglowała” mnie do tej właśnie szkoły Malwiny Reissówny, abym się uczyła śpiewu.

JSG: *Czy pani rodzina też pochodziła ze Lwowa?*

JJ: Pochodzimy z wielkiego majątku koło Złoczowa. Nasz herb to Rawicz – „panna na niedźwiedziu”. Ziemie zostały nadane jeszcze przez króla Sobieskiego. Przepiękny pałac bolszewicy zniszczyli podczas pierwszej wojny światowej. Mama mnie tam zabierała, gdy byłam dziewczynką. O ile pamiętam tylko stryj tam urzędował, ojciec nie chciał pojechać. Był naukowcem. Studiował w Wiedniu. Znał języki: grekę, łacinę, naturalnie niemiecki. Ja się modliłam po niemiecku i bony miałam Niemki. Mój ojciec kochał Wiedeń. Opowiadał, jakie tam wymyślali żarty i zabawy. Studenci wszędzie są tacy sami. A mama pochodziła z Przemyślan. Uważała, że to troszkę niżej niż Złoczów. Mama była blondynką, a ojciec był szczupły i ciemny. Wyglądał troszkę na Turka, albo Tatara, w każdym razie na Azjatę. Kiedy ja urodziłam się we Lwowie, rodzice już tam mieszkali. Ojciec chciał być bliżej tej nowej, tworzącej się Polski. Nasz dom, projektowany przez kolegę ojca Karola Stryjeńskiego, (który projektował gmach Politechniki), mieścił się na ulicy Listopada. To była piękna dzielnica. Podczas wojny wszystko zginęło, fotografie, dokumenty, pamiątki.

JSG: *Po wybuchu wojny jeździła pani z zespołem Henryka Warsa od Odessy po Syberię.*

JJ: Tak, już Rosja mnie zabrała, już nie miałam nic, ani domu, ani matki, ani Lwowa, ani Polski, nic. W naszym zespole był Eugeniusz Bodo, który doskonale mówił po rosyjsku. Ja nie

miałam pojęcia o rosyjskim, śpiewałam jakąś polską piosenkę, chyba walczyka. W Odessie z naszym zespołem występowali też Żydzi, śpiewający przed wojną w różnych barach i kawiarniach. Nie rozmawiali po polsku, tylko w swoim języku – jidisz. Pamiętam z tych wędrówek po Rosji straszny głód i mróz. Nie byliśmy wprawdzie w żadnym obozie, czy łagrze, ale też było nam ciężko. Obdarci, w łachmanach, ubranie, które mieliśmy zniszczyło się, nowego nie było skąd wziąć. Ja nie miałam butów, to znaczy miałam wierzch, ale zdarła się podeszwa. A tu 40-to stopniowy mróz. Odmroziłam sobie wtedy stopy i do dziś mi dokuczają. Ale nawet w najgorszych momentach wiedzieliśmy, że mimo zimna i głodu, okreśną drogą – idziemy, idziemy do Polski. I to nas trzymało.

***JSG:** Dlatego z taką radością przyłączyliście się do polskiej armii – Drugiego Korpusu gen. Andersa. Przeszła z nią pani cały szlak bojowy, umilając życie polskim żołnierzom w tym trudnym czasie.*

JJ: Generał Anders był bardzo kochanym człowiekiem i bardzo dobrym. Jak magnes nas trzymał i opiekował się nami. Był też uroczym, pięknym mężczyzną. Miał piękne oczy, twarz i głos. Wojsko go uwielbiało, jak mówił, to wszystkie oczy zwrócone były tylko na niego. Byłam blisko niego, lubił mój śpiew. Kiedyś siedziałam z nim i jego żoną na wyścigach konnych w Bagdadzie. Darłam się w niebogłosy, tak przeżywałam to co się

działo na torach. Wtedy generał mi powiedział, żebym z tym poczekała do wieczora, na koncercie będę mogła się wykrzyczeć do mikrofonu. Generał potrafił żartować, flirtować, ale zawsze był generałem i wszyscy to wiedzieli.

***JSG:** Jak wyglądał taki koncert dla żołnierzy?*

JJ: Często o tym myślę i pamiętam bardzo wyraźnie. Na pustyni dwa tysiące żołnierzy, siedzą na piasku. Przyszli prosto z frontu (dowiedziałam się od generała). Jest ciemna noc, nic nie widać, tylko gwiazdy na niebie, scena z desek, mikrofon, harmonia, jedna żarówka i w kompletniej ciszy słyszeć głos. To ja śpiewam dla nich.

***JSG:** Swój pierwszy recital miała pani podczas wojny w Tel-Avivie.*

JJ: Tak, ja katoliczka, wychowana w klasztorze francuskim „Sacre Coeur” we Lwowie, na swoim pierwszym recitalu śpiewałam po hebrajsku. Miałam dobry słuch, to mi pomogło nauczyć się tego języka. W Tel-Avivie chodziłam na lekcje śpiewu, miałam bardzo dobrą nauczycielkę. Ale na mój pierwszy recital, nie przyszło wiele osób, to była wojna.

***JSG:** A potem były Włochy.*

JJ: Ref-Ren miał swój zespół, ja byłam w innym zespole, razem z Renatą Bogdańską, przyszłą żoną generała i jej pierwszym mężem Gwidonem Boruckim. Borucki miał bardzo ładny głos i wyszukane maniery. Był kochany i zawsze uśmiechnięty.



Wojciech Wojtecki, Jadwiga Czerwińska, Helena Kitajewicz, Janina Jasińska,
Zygmunt Zimand, Jerzy Kropiwnicki

Teatr polski w W. Brytanii

Wędrowni komedianci

nie większości Polaków, roz- domkami suszy się bielizna. W dzieci, sporo przyst
na hoste- każdym kolejnym osiedlu jest Przywilejem pub
Inn. Drzewa na tle ma winejonałej jest m
nia ze sceny Zygmi

Od lewej: Wojciech Wojtecki, Jadwiga Czerwińska, Helena Kitajewicz, Janina Jasińska, Zygmunt Zimand, Jerzy Kropiwnicki, fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian

JSG: *Po zakończeniu wojny znalazła się pani w Londynie i związała się z teatrem Hemara. Jak zapamiętała pani tę legendę kabaretu?*

JJ: Hemar był bardzo trudny, uszczypliwy, złośliwy i wymagający. Wszystko musiało być tak, jak on chciał i każdy musiał się temu podporządkować. Kiedyś Malicz powiedział, że „po scenie chodzą same Hemary”. To o czymś świadczy. Ale on nas wiele nauczył. Zwracał uwagę na piękny język, piękną składnię i jak w dramatycznym teatrze, wszystko musiało mieć swoje miejsce. Pamiętam jak zwracał mi uwagę – nie takim pięknym głosem śpiewaj, Jasiuniu. Bał się, że publiczność zwróci uwagę na mój „piękny głosik” i umkną wtedy jego intelektualne teksty, bał się o każde słowo.

JSG: *Wtedy Hemar był drugi raz żonaty z Carroll Anną Eric, która chyba nie rozumiała tych wszystkich polskojęzycznych intelektualnych i politycznych zawiłości.*

JJ: Na pewno był nie wygadany, nie mógł z żoną porozmawiać o wszystkim. Często po spektaklach czekał na mnie w ciemności. Potem spacerowaliśmy, a on opowiadał i opowiadał o sobie.

Kiedyś tak się zagadaliśmy, że minęła 10 wieczorem i zamknęli nas w parku. Myślałam, że pękne ze śmiechu, gdy go zobaczyłam, jak przełazi przez kraty.

JSG: *Jaka publiczność przychodziła na wasze przedstawienia?*

JJ: W Londynie publiczność była bardzo przyjemna, ale wymagająca. Nie mogło być tzw. chałtury, o nie. Była to wybrana publiczność, bo nie wszyscy rozumieli polityczne aluzje, ciężki humor i trudny język.

JSG: *Jak wspomina pani Anglię?*

JJ: Kocham Anglię i bardzo lubię Anglików. Po 11 latach pobytu w Londynie jestem obywatelką brytyjską. Ale Anglia, to był dla nas bardzo trudny okres. Powtarzaliśmy sobie „dojdziemy, może nie wszyscy, ale dojdziemy”.

JSG: *Do czego dojdziecie?*

JJ: Do Polski, oczywiście.



„Księżyc do wynajęcia”:
Gwidon Borucki
Zofia Terné
Stanisław Zięciakiewicz
Nina Oleńska
Mieczysław Malicz
Janina Jasińska
Stanisław Ruszała

„Księżyc do wynajęcia”, od lewej: Gwidon Borucki, Zofia Terne, Stanisław Zięciakiewicz, Nina Oleńska, Mieczysław Malicz, Janina Jasińska, Stanisław Ruszała, fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar”, wyd. Muza.



Marian Hemar,
Tola Korian (w środku),
Janina Jasińska (po prawej)

Marian Hemat, Tola Korian (w środku), Janina Jasińska (z prawej), fot. z książki Anny Mieszkowskiej „Ja, kabareciarz. Marian Hemar”, wyd. Muza.

JSG: W 1958 roku przyjechała pani wraz z mężem Stanisławem Lipińskim do Kanady. Pani mąż był filmowcem.

JJ: Tak. Poznaliśmy się w Egipcie. On był wychowany w Paryżu i tam kończył szkołę filmową. Potem przyjechał do Polski. Podczas wojny tak jak ja znalazł się w Drugim Korpusie gen. Andersa. Filmował w najbardziej niebezpiecznych miejscach, przy samej linii frontu. Tylko on z kamerą i asystent. Kręcił też filmy we Włoszech, pod Monte Casino, blisko akcji. Współpracował ze znanym przed wojną reżyserem – Michałem Waszyńskim.

JSG: *Występowała pani w latach 60. i 70. w Toronto, śpiewała pani na koncertach dla polskich kombatanów, dla marynarzy. Wiele osób przyjechało z Londynu i panią znało. Była pani ukochaną artystką wszystkich tych, którzy przeszli szlak bojowy.*

JJ: Tak rozeszła się szybko plotka, że tu jestem.



Jasia Jasińska w swoim apartamencie w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: *Gdy w latach 90. Maria Nowotarska wraz z zespołem Salonu Muzyki i Poezji wystawiała lwowskie spektakle, była Pani honorowym gościem. Nagrany na płycie głos Hemara zapowiadał pani występ w Londynie, a potem z taśmy można było usłyszeć pani głos .*

JJ: Tak pamiętam. Słuchałam, tego, co śpiewałam w Londynie ze

wzruszeniem. Mój syn i wnuk podali mi kwiaty. To było duże przeżycie.

JSG: *Czy była pani po wojnie we Lwowie?*

JJ: Nigdy nie przyjechałam do Lwowa. Pracowałam w Radio Wolna Europa i to było niebezpieczne.

JSG: *Czy Pani tęskni za Polską?*

JJ: Właściwie już nie tęsknię. Już jestem przerobiona. A może to takie uśpienie? Amnezja?

Jasia Jasińska zmarła w 2011 roku w Sunnybrook Hospital w Toronto.

O Józefie Wittlinie



Józef Wittlin, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Z prof. Florianem Śmieją rozmawia Ewa Wielgosz

Ewa Wielgosz: Jak wyglądało Pana pierwsze spotkanie z Józefem Wittlinem? Kto je zainicjował?

Florian Śmieja: Sądzę, że były to odwiedziny w Nowym Jorku, bo z pobytu w Londynie w czasie mojej rezydencji w Anglii nie mam żadnych pewnych wspomnień. Wprawdzie w liście z 1962 roku Wittlin anonsował możliwość odwiedzin Londynu w drodze powrotnej z Hiszpanii, po wizycie u córki, ale chyba do

planowanego spotkania ze mną i kolegami, jak sugerował, nie doszło. Widzenie się w USA było moją inicjatywą, a pomógł je zrealizować Paweł Łysek, który zaprosił mnie do siebie na Long Island.

E.W.: Z jakiego powodu zaproponował Pan to spotkanie?

F.Ś.: Poznawszy w Warszawie Antoniego Słonimskiego, a potem w Londynie Kazimierza Wierzyńskiego, zauważyłem możliwość spotkania innego prominenta poetyckiej falangi poprzedniej generacji. Nie chciałem zaniedbać szansy jak to się stało wcześniej w Anglii, gdzie przegapiłem spotkanie z byłym wojewodą śląskim, Michałem Grażyńskim, który kolegował z moim Teściem, choć zdołałem odwiedzić Adama Ciołkosza. Postanowiłem więc zaproszenie do Nowego Jorku ukoronować wizytą u Józefa Wittlina, poety cenionego za troskę i obronę wartości etycznych i franciszkańskie pochylenie się nad maluczkimi.

E.W.: W Pańskim Archiwum (Archiwum Profesora Floriana Śmieji) w Bibliotece Uniwersytetu Rzeszowskiego przechowywane są cztery listy, które Wittlin napisał do Pana w latach 1959-1972. Czy poza owym przypomnianym przez Pana spotkaniem, utrzymywaliście Panowie tylko listowny kontakt?

F.Ś.: Te listy, o których Pani wspomina, zachowały się przez

przypadek i nie mogę wykluczyć, że nie było ich więcej, ale to trzeba by zweryfikować w korespondencji Wittlina.

E.W.: Jaki był główny temat Pana rozmów z autorem *Soli ziemi*?

F.Ś.: Pod kuratelą doktora Jerzego Pietrkiewicza w School of Slavonic and East European Studies w Londynie studiowałem z grupą studentów brytyjskich powieść *Sól ziemi*, pierwszą część trylogii, którą Wittlin ukończył i wydał. Oczywiście, interesował nas los reszty zamierzonej trylogii.

E.W.: Czyli podczas spotkania w Nowym Jorku zapytał Pan autora o jego plany dotyczące kontynuacji *Soli ziemi*? Jakie miał zamiary?

F.Ś.: Po tylu latach już nie powiem z pewnością, co autor orzekł, a co było ogólnie wiadome. Panowała opinia, że części drugiego tomu zaginęły w czasie nieudanej ucieczki Wittlina z Francji do Wielkiej Brytanii, że stara się on odtworzyć kontynuację, wreszcie, że trapi autora niemoc twórcza, choć części drugiego tomu wydrukowała paryska „Kultura” w 1972, a bodaj w 1995 roku w Polsce wyszła *Sól ziemi* z fragmentami kontynuacji.

E.W.: W którym roku i pod jaką nazwą dr Jerzy Pietrkiewicz prowadził zajęcia, podczas których omawiano *Sól ziemi*?

F.Ś.: Ja prowadziłem klasę byłych wojskowych, którzy uczyli się języka polskiego, by zostać attache wojskowymi. Były to lata, kiedy pomoce naukowe były liche, istniał podręcznik A. Teslara napisany, zdaje się, dla Szkotek, żon Polaków, służył za wprowadzenie do języka ze słynnym zdaniem o ordynansie, który dawał pić karemu koniowi pana pułkownika czy czymś podobnym. Lekturę wybierał Pietrkiewicz i on forował wtedy *Sól ziemi*. Wprowadził odmienną listę zalecanej lektury. Propagował Paskę, Norwida, Irzykowskiego, *Z dnia na dzień* Ferdynanda Goetla, Kasprowicza i Gabriellę Zapolską.

E.W.: Czy *Sól ziemi* stanowiła Panów lekturę obowiązkową? Należała do kanonu czy była to propozycja wykładowcy?

F.Ś.: Może tak się składało, że niezależnie od swoich walorów, powieść była dostępna na rynku.

E.W.: Czy przypomina Pan sobie kwestie, które poruszał dr Jerzy Pietrkiewicz w związku z *Solą ziemi*? Jak ją oceniał? W jaki nurt literatury wpisywał? Może pozostały jakieś skrypty, notatki z tych zajęć?

F.Ś. Za dużo czasu upłynęło i było sporo translokacji, by zachowały się jakieś rekwizyty.

E.W.: W latach 70. odwiedził Pan Wittlinów w ich nowojorskim

mieszkań. Czy w tym spotkaniu uczestniczyły inne osoby? Żona Wittlina, jego córka, wspólni znajomi Panów?

F.Ś.: W Nowym Jorku, oprócz Pawła Łyska i jego bratanka Jana, był Józef Wittlin i jego żona, Halina.

E.W.: Istnieje fotografia Pana z autorem *Soli ziemi* będąca pamiątką po owej nowojorskiej wizycie. O czym Panowie rozmawialiście podczas spotkania?

F.Ś.: Zachowały się dwie fotografie zrobione w mieszkaniu Wittlinów. Na jednej stoją Paweł Łysek, ja i Józef Wittlin, na drugiej, oprócz nas, stoi także Halina Wittlin. Na pierwszej w ręku trzymam otwarty egzemplarz kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy” z wierszami Józefa Wittlina.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Józef Wittlin, Paweł Łysek, Halina Wittlin, Florian Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

E.W.: Jak wyglądał dom Józefa Wittlina? Czy widział Pan miejsce, w którym Wittlin pisał?

F.Ś.: Mieszkanie Wittlinów było na którymś piętrze kamienicy. Pamiętam, że jechaliśmy windą. Oba zdjęcia ukazują salon, a zarazem pracownię pisarza. Rozłożone książki nie pozwalają zdecydować, czy leżą na biurku czy na stole.

E.W.: Czy pamięta Pan legendarne już w pewnym sensie koty Wittlinów? Podobno „uczestniczyły” w każdej rozmowie (bezpośredniej i telefonicznej) gospodarzy z gośćmi, nie

pozwalając się zamknąć na ten czas w łazience?

F.Ś.: Na ten temat nie umiem , niestety, odpowiedzieć.

E.W.: We wspomnianej przeze mnie zachowanej korespondencji Panów, Wittlin pisał o odwiedzinach Jerzego S. Sity oraz lekturze utworów Adama Czerniawskiego, przekazywał na Pana ręce pozdrowienia dla nich, wyrażał nadzieję na wspólne spotkanie. Czy autor *Soli ziemi* poznał jeszcze innych Pana kolegów pisarzy?

F.Ś.: Nie wiem, czy udało się Józefowi Wittlinowi spotkać z moimi kolegami, bo to był problem przeniesienia się na drugi kontynent.

E.W.: Jaka opinia na temat twórczości Józefa Wittlina panowała wśród Pańskich kolegów współtworzących pismo „Merkuriusz Polski” i „Nowy Mercuriusz-Kontynenty”? Czy znaliście Panowie *Sól ziemi*, *Hymny*, eseje Wittlina, jego przekład Homerowej *Odysei*? Jak ocenialiście te utwory jako młodsi „koledzy po fachu”?

F.Ś.: Wymienieni koledzy już jakiś kontakt mieli. Czy jeszcze się zacieśnił, nie wiem. Znajomość dorobku naszych starszych kolegów była przypadkowa, gdyż na emigracji tylko wyjątkowo udawało się przedrukować przedwojenne książki. Rzadkie

egzemplarze były w ważnych bibliotekach, ale trzeba było być w głównych ośrodkach emigracyjnych, by z nich korzystać. Ja ceniłem wiersze Wittlina i jego przekłady Homera. Wielkie wrażenie wywołały później wydane w Paryżu eseje.

E.W.: Jakie wiersze lub eseje Wittlina pozostały w Pańskiej pamięci do dziś? Co takiego, Pan jako pisarz, uznał za wartościowe (może oryginalne) w jego poezji i eseistyce?

F.Ś.: Zapamiętałem obowiązkowe czytanie esejów rozważających dylematy emigrantów i rozmyślenia egzystencjalne.

E.W.: Czy zna Pan przekłady poezji hiszpańskiej na język polski dokonane przez Józefa Wittlina? Jak Pan, jako hispanista, je ocenia?

F.Ś.: Przelotnie widziałem te przekłady, ale już nie pamiętam impresji. Pisał Wittlin, że poznał na Harvardzie Jorge Guillena, jednego z wybitnych poetów hiszpańskich i polecił mi go, sądząc, że byłbym dobrym tłumaczem.

E.W.: Józef Wittlin przełożył na język polski utwory Carlosa Bousoño (*Jan od Krzyża*), José Luisa Cano (*Piękno*), Vicente Aleixandre *Dialogi o poznawaniu. Maja i Starucha (Na corridzie)*, Francisco Brinesa (*Ostateczna samotność*), Miguela Hernandeza (*Kołysankę o cebuli*), José Hierro (*Pieśń mająca więźnia ukołysać*

do snu). Co te wybory mówią o artystycznym „smaku” tłumacza?

F.Ś.: W wyborze tych wierszy Wittlin kierował się dobrą znajomością współczesnej mu liryki.

E.W.: W naszej poprzedniej rozmowie, która odbyła się na Uniwersytecie Rzeszowskim przy okazji Sympozjum Naukowego „*Małe ojczyzny* w twórczości pisarzy emigracyjnych” powiedział Pan, że „Wittlin to był moralny człowiek”. Skąd ten wniosek? Jakim człowiekiem jest Józef Wittlin z Pańskich wspomnień?

F.Ś.: Spotkałem człowieka uduchowionego i delikatnego, wywołującego wielkie poszanowanie. Niewiele brakowało, a byłbym go na pożegnanie pocałował w rękę z respektu.